

DZISIAJ i JUTRO

EMANUEL MOUNIER

tłum. EWA KRASNOWOLSKA

CHRYSYANIZM WOBEC ŚWIATA

W podglebku współczesnej ludzkości istnieją dwa nurty. Jeden z nich niesie Kościół, życie chrześcijańskie, heroiczne dzieło Królestwa Bożego zgodne z naszymi tradycjami o tym pojęciami. Drugi — szereg wytworów historycznych, nowych idei czy nowych uczuć, postęp w rozwoju najrozmaitszych instytucji; słowem, jest to nurt cywilizacyjny, który rozwija się na marginesie świata chrześcijańskiego i czasem wbrew niemu, jakkolwiek nie byłby tym, czym jest, bez nieustannego wpływu dziedzictwa chrześcijańskiego — nie można mu zresztą odmówić licznych wytworów przezeń wartości. Gdy porównujemy do świadectwa średniowiecznej społeczności chrześcijańskiej, wydaje się nam ono całkowicie nowe. Być może, nie należy tu przesadzać. Kreśląc historię zawsze się ją bardzo schematyzuje. Jest to nie do uniknięcia. Jeżeli w ustroju średniowiecza uwzględnimy istnienie pozostałości cywilizacji rzymskiej oraz rozległych odcinków objętych rozpoczynającą się laicyzacją, to przekonamy się, że w ciągu całego okresu istnienia chrześcijaństwa problem nasz był mniej lub więcej aktualny. Przede wszystkim zaś

nazbyt często rozważa się owo zagadnienie w ten sposób, jakby chrześcijaństwo zaczęło się wraz z początkiem średniowiecznej społeczności chrześcijańskiej, gdy tymczasem żyło ono przez kilka wieków, i to życiowo najbardziej intensywnym, w łonie cywilizacji łacińskich i germańskich zrodzonych i ukształtowanych bez jego wpływu. Do dziś jeszcze żyje w ten sposób w krajach misyjnych. Tak więc dotychczas najpowszechniejszym dla chrześcijaństwa stanem, poza kilku momentami historii i być może kilku przywilejowanymi terytoriami, jest dualizm istnienia państwa chrześcijańskiego (*ciété chrétienne*) i laickiej cywilizacji.

Czy jest to stan normalny i zgodny z zasadami życia wiary w świecie, czy nie? To przejaw nieporządku, który państwo chrześcijańskie powinno zmienić? Czy chrześcijaństwo powinien przeniknąć cywilizację i przemienić je od wewnątrz tak, aby uczynić z nich cywilizację chrześcijańską? Czy też jest on obcy dokonaniom cywilizacji, nie ma w nie wglądu i oddźwięku w głębiach jej życia? Niemalże jest, aby pierwsi chrześcijanie nie stawiali sobie tych problemów. Musiały one przed nimi wyrastać z chwilą nawrócenia, gdy

należeli jednocześnie do dwóch porządków: chrześcijanie — a zarazem obywatele, chrześcijanie — a zarazem humaniści, chrześcijanie — a zarazem właściciele niewolników. Wówczas jednak rzeczą nienukniejącą było czysto teoretyczne stawianie tych problemów, ponieważ chrześcijaństwo zaczynał dopiero swą działalność. Przypomnijmy sobie owe brutalne sformułowania: Tacjana przeciw Justynowi i Tertuliana przeciw Grekom. Dziś mamy poza sobą całe wieki doświadczenia, jak układa się współistnienie pomiędzy życiem wiary a rozwojem cywilizacji. Wydaje się jednak, że doświadczenie to daje tak niepewną odpowiedź, iż spór czasów apostołskich powstaje z nową, niezminiejszą siłą. Z pewnego punktu widzenia nie ma tu żadnej istotnej różnicy. Dla pierwszych chrześcijan owa cywilizacja, której laicka wspaniałość stanowiła dla nich problem, była czymś już zastanym, co istniało przed przyjściem Chrystusa; dla nas jest ona czymś istniejącym równolegle, na marginesie wyznawanego chrześcijaństwa. Jeśli nas nie przestaje nękać problem Chrystusa „zbiorcy” (*Christ „récapitulateur”*), któremu nie może być obce nic, co rodzi się z czynnej prawdy i miłosierdzia,

to pokolenia apostołskie dręczyło to samo zagadnienie w odniesieniu do świata żydowskiego i greckorzymskiego. W obu tych wypadkach myśl chrześcijańska drąży jedną troską: włączyć się w całkowitą jedność wszechświata i zbawienia — i tym właśnie plomieniem pała słowo „katolicki”, gdy przybiera swoje właściwe pałace znaczenie.

Jeśli jednak wzmiankowany dualizm był stanem normalnym o brasku ery chrześcijańskiej, to jego trwanie po upływie dwudziestu wieków istnienia chrześcijaństwa stawia nas wobec nowego problemu: czy fakt ten świadczy o uporczywym trwaniu zła aż do wypełnienia czasów, czy też wskazuje na to, że istnieje pewien ustrój wszechświata chrześcijańskiego, który został przez nas zapoznany na skutek niecierpliwych chęci zjednoczenia świata według pierwszych schematów wyobraźni?

Szukajmy napród odpowiedzi w historii: jeśli jest ona pismem Boga, to — czytana w świetle wiary — zawiera w sobie pewne naturalne objawienie, którego blask zdolny jest nas oświecić.

ZOSTAWMY więc historii pierwsze pytanie: czy życie wiary, włączone na różnych stopniach w życie Kościoła i świata chrześcijańskiego, miało jakiś istotny wpływ na losy naszej cywilizacji i jakiej ów wpływ był natury?

Niejednokrotnie wspomina się o rewolucyjnym fermentie chrześcijaństwu. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka Ewangelia zawiera dosyć materiału wybuchowego, by wysadzić w powietrze zręby, na których się opiera rodzina, państwo, wzajemne stosunki klas, struktura własności, granice krajów, przegród ras, pojęcia o przynależności — a więc niemal wszystko, co tworzy całokształt stosunków społecznych. Takie właśnie było zdanie cesarzy rzymskich. Nie przesładowali oni wyznawców wiary, lecz burzyli istniejący porządek. A cóż uczynili owi burzyciele? W ciągu trzech wieków zawiązała się Imperium, lecz w niezbrojnej walce. A społeczeństwo, które ich żywiło? Czy, jak asceci, usunęli się oni na pustynię, czy we wszystkich sprawach dostrzegali wątpliwość sumienia, czy we wszystkich odmawiali posłuszeństwa? Czy usiłowali wynaleźć nowe formy życia, czy byli, jak to się dziś określa,

„twórcy”? — Nie. Widzi się ich w wojsku i na dworze panującego, na forum i w senacie, w łaźniach i na rynku. Odmawiają, płacąc śmiercią nawet tę odmowę, dokonywania aktów bałwochwaltwa, lecz odmawiają tylko tego. Nawet ci, którzy najsurowiej odnoszą się do zepsucia świata pogańskiego, jak na przykład Tertulian, doradzają zarazem najgorliwiej stosowanie konformizmu w życiu społecznym oraz podkreślają niezawodność swego ducha obywatelskiego.

Głoszą oni, że „nie ma odtąd ludzi wolnych i niewolników”. I rzeczywiście, położenie niewolnika należącego do pana — chrześcijanina natychmiast wlega daleko idące zmiany, najbardziej oburzające zarządzenia zostają zaniechane. Lecz niewolnictwo istnieje nadal. Usprawiedliwia je jeszcze cała teologia średniowiecza, od świętego Bonawentury do świętego Tomasa z Akwinu i Duns Scotta, a więc dwadzieścia i trzydzieście wieków potem, jak padły słowa o sile materiału wybuchowego. Do zanku niewolnictwa doprowadzą ostatecznie dopiero wymogi ekonomiczne.

(Dokończenie na str. 2)

MARTIN CARTER

tłum. JERZY PROKOPIUK

POEMATY OPORU

Dzień jutrzejszy i świat

Jakże jestem szczęśliwy,
gdy idę ulicą a sprzedawca stolicy mówi mi: przyjacielu
zaś szewc but szyjący swym szydłem i dratwą
przypomina mi o dniu jutrzejszym i świecie.

Jakże dobrze jest móc witać cię
i śpiewać wraz z tobą, przyjacielu,
z pieca życia wydobywa się dym
i gorze w nim ogień czerwony, czerwony, czerwony.

Zielona trawa i kwiaty żółte,
zapach mgły i światło słońca —
wszędzie światło dnia,
wszędzie pieśni życia płyną,
jak nowe statki na rzekach nowych żeglujące, żeglujące...

Dzień jutrzejszy i świat
i pieśni życia i moi wszyscy przyjaciele —
o tak, dzień jutrzejszy i świat
obudzony, pełen dobrego życia.

Zaciskam pięść nad głową

Przybywasz na okręcie wojennym przywoząc śmierć —
znam twe ręce, są czerwone od krwi koreańskiej,
znam twe palce drżące na cynglu —
i dlatego przeklinam cię, cudzoziemcze w mundurze khaki.

Brytyjski żołnierzu, człowieku w khaki
pełen troski o każdy nasz krok.
Mój przodek Accabre
jęczy w swym grobie...
Budzi się w nocy i czuwa
z ogniem w oczach,
ty bowiem depczesz po jego piersi
i gniesz jego serce...

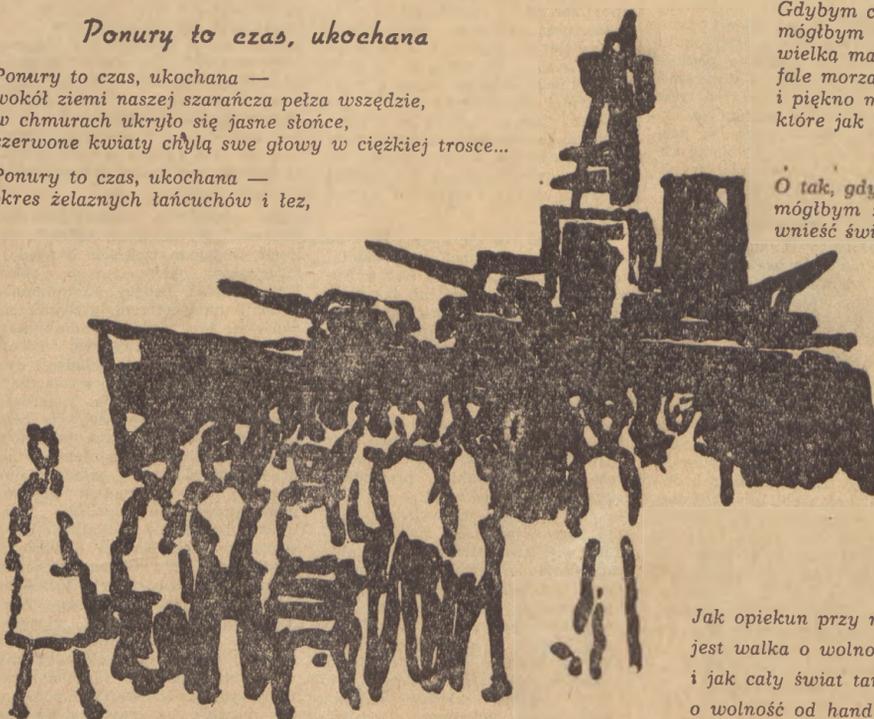
Choć przybywasz z morza tysiącami,
choć spacerujesz po ulicach jak szarańcza,
choć kierujesz swój karabin wprost w me serce —
zaciskam pięść nad głową i śpiewam mą pieśń o wolność.

Martin Carter, czołowy poeta gujański (ur. w 1926 r.) jest członkiem Komitetu Wykonawczego Ludowej Partii Postępowej i sekretarzem Gujańskiego Komitetu Obróńców Pokoju. Ojciec znajduje się on, wraz z innymi przywódcami Ludowej Partii Postępowej, za drutami obozu koncentracyjnego w Atkinson Field, gdzie został uwięziony za swą niepodległościową działalność. Poezja Cartera, której — być może — najwyższym osiągnięciem są właśnie „Poematy Oporu” („The Poems of Resistance”), jest poezją walki i miłości. Ogniem rozpalającym jego twórczość jest ból, jaki wzbudza w człowieku świadomość cierpienia jego współbraci, cierpienia zrodzonych przez nędzę i niewolę. Jest to ból, który rodzi gniew — wielki, szlachetny gniew przenikający poezję Cartera tak, jak światło przenika świeżość poranku. Bowiem, wprawdzie twórczość czarnego poety z Gujany rodzi się z burzy, wprawdzie słychać w niej głos walczącego serca, ale jednocześnie płynę z niej dziwna świeżość, świeżość miłości do ludzi, ptaków gwiazd i morza.

Ponury to czas, ukochana

Ponury to czas, ukochana —
wokół ziemi naszej szarańcza pełza wszędzie,
w chmurach ukryło się jasne słońce,
czerwone kwiaty chyliły swe głowy w ciężkiej trosce...

Ponury to czas, ukochana —
okres żelaznych łańcuchów i łez,



rys. Roman Madejski

święto karabinów, karnawał nędzy —
wszędzie widzę zmęczone i niespokojne twarze ludzi...

Czyjeż kroki słychać ciemną nocą?
Czyj but stalowy gniesz wysmukłe trawy?
To człowiek śmierci, ukochana, obcy najeżdźca
niszczący twe życie i kradnący twój sen...

Łśni piękno mej milej

Gdybym chciał
mógłbym noc namalować,
wielką mapę gwiazd nad falami morza,
fale morza pod gwiazdami
i piękno mej milej,
które jak kwiat świeci wśród ciemności.

O tak, gdybym chciał,
mógłbym zacisnąć mocno powieki mych oczu,
wnieść świat cały, jak życie, do mego mózgu.

Lecz nowe nadciągają czasy
I gdziekolwiek zwrócę me oczy
straszny bunt idzie ze mną
jak pocatunek —
bunt Malajów
i Wietnamu —
bunt Indii
i Afryki —
jak opiekun.

Jak opiekun przy mym boku
jest walka o wolność
i jak cały świat tańczący
o wolność od handlarzy niewolników,
łśni piękno mej milej w jej śmiejących się oczach.

Skończyć z niebezpieczną fikcją

ŚMIESZNE i groźne zarazem są szczytki nacjonalistycznego reżimu na Tajwanie. Śmieszny jest bowiem ten staruch jakby z bajki o Sindbadzie - Żeglarczy, uciepiony zdradzonej ojczyźnie Czang Kai-szeka, - ten jak określili niedawno były premier angielski Attlee - stary człowiek na czele starzejących się wojsk. Śmieszny jest dr Tsiang, który z podziwu godnym tupetem w Radzie Bezpieczeństwa chce wykonywać prawa wiekiego mocarstwa, które od pięciu blisko lat przestało reprezentować. Śmieszny jest dr Hsu - Mo, ferujący w Mędzyna-rodowym Trybunale Sprawiedliwości wyrok w imieniu... Republiki Chińskiej. Śmieszni są ci wszyscy ministrowie, ambasadorowie, delegaci fikcyjnego państwa.

I doprawdy, nie warto byłoby o nich mówić, gdyby nie druga, ponura i groźna strona tej groteski: patronat Stanów Zjednoczonych, które okupując faktycznie Tajwan i kontrolując okoliczne wody, uważają Czang Kai-szeka za wygodne narzędzie agresji, a wyspę za doskonałą bazę wypadową. W ten sposób istnienie garstki skompromitowanych nacjonalistów urasta do miary faktu, grożącego światowemu pokojowi i bezpieczeństwu.

W opinii amerykańskiego stanowiska USA wobec Czang Kai-szeka splatają się momenty natury strategicznej i politycznej.

Wojenne plany USA opierają się na koncepcji stworzenia baz wojskowych, opasujących od zachodu, południa i wschodu państwa obozu socjalistycznego. Na Dalekim Wschodzie linia ta przebiegać ma przez terytoria Pakistanu, Malajów, wyspy Indonezji i dalej na północ - Filipiny, Tajwan i Japonię. Tajwan jest więc koniecznym ogniwem w tym układzie, łącząc się ściśle - poprzez łańcuch wysp Ryukyu i Okinawa z bazami w Japonii i południowej Korei. Znaczenie militarne tej wyspy jest potężne - jako baza wypadowa dla desantu wojsk lądowych, baza operacji morskich oraz baza lotnicza. Wystarczy spojrzeć na mapę tego regionu: do wybrzeży Chin - niecałe 200 mil, do Szanghaju - 500, do Portu Artura - 1050, do Pekinu 1150.

Stany Zjednoczone wiedzą, że udział Nowych Chin w pracach uchodźczych, ale bądź co bądź powstającej politycznej organizacji międzynarodowej - stanowiłby poważny ciężar dla obozu imperialistycznego. Nastąpiłaby zasadnicza zmiana układu sił w centralnym organie ONZ - Radzie Bezpieczeństwa. Stany uświadamiają sobie dalej, że działalność przedstawicieli Chin Ludowych pobudziłaby zależne narody Azji do większej walki o suwerenność narodową.

Toteż nie dziwnie, że „nieobliczalny” - jak pisze angielski „Economist” - senator Knowland grozi „wystąpieniem” z ONZ, Eisenhower i Dulles zapowiadają „twardą politykę” w imię imperialistycznej moralności i poszanowania prawa... W tej walce politycy amerykańscy stają się coraz bardziej samotni. Prasa amerykańska skarży się: „nie możemy dłużej polegać na naszych zamorskich aliantach”. I w tej kwestii, w kwestii stosunku do Chin Ludowych i problemu przyjęcia ich do ONZ, najwyraźniej może rysować się głębokie sprzecznosci anglo-amerykańskie. Rzecz charakterystyczna - rozbieżności, istniejące przeciw w stosunkach obu państw od kilku lat, ujawniły się z całą ostrością właśnie w rezultacie rozmów waszyngtońskich, które według oficjalnych komunikatów miały „przywrócić wspólną postawę wobec zasadniczych problemów polityki światowej”. Zamiast tego po jednej stronie Atlantyku - historyczne wystąpienia Knowlanda i mrukliwe wypowiedzi Eisenhamera, które tak dobrze scharakteryzował angielski dziennik „News Chronicle” pisząc: „Eisenhower zamknął drogę, mogącą prowadzić do porozumienia z chińskimi komunistami i skierował cały ruch w ponury, ślepy zaułek”. Zaś po drugiej stronie, w Anglii, burzliwa debata parlamentarna i sceptyczne głosy prasy angielskiej na temat stanowiska Ameryki. Postawa angielska określili Attlee, mówiąc w parlamencie: „Organizacja Narodów Zjednoczonych składa się z przedstawicieli państw o rozmaitych światopoglądach. Chiny nie powinny być poza Organizacją dlatego, że ich rząd jest komunistyczny. Czang Kai-szekowi należy się emerytura. Uważamy, że nieprzyjęcie Chin do ONZ jest rzeczą złą, nierozważną i sprzeczną z zasadami Kartą Narodów Zjednoczonych”.

To samo stanowisko zajmuje cała prasa angielska. Szczególnie ostro rozprawia się z Amerykanami „Daily Herald”: „Prezydent Eisenhower oświadcza - pisze on - że będzie walczył przeciwko dopuszczeniu komunistycznych Chin do ONZ. Nie może on sobie wyobrazić, aby jakikolwiek naród mający poczucie własnej godności i wysoki standardy moralne mógł wypowiedzieć się na rzecz przyjęcia Chin. Krótka odpowiedź brzmi: - nikt posiadający „wysokie zasady moralne” i poczucie rzetelności nie może opowiadać się na rzecz oszustwa. A musi być oszu-

stwem, jeżeli ktoś sprawujący władzę jedynie na Formozie pretenduje do reprezentowania narodu chińskiego, który wyrzucił go precz”.

Cóż sprawia, że Anglicy zaledwie tolerują Czang Kai-szeka w ONZ, ryzykując gniew sojuszników z oceanu? Jakże są przyczyny „orientacji na Chiny Ludowe”? Zyciowość wobec ustroju chińskiego? Wątpliwe. Realizm polityczny? I owszem. Ale przede wszystkim troska o własne interesy.

Jest faktem powszechnie znanym, że rynek państw tak zwanego bloku szterlingowego kurczy się stale z powodu ekspansji gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Ten najświeższy dziś kraj kapitalistyczny opanował całkowicie handel Ameryki łacińskiej, eliminując stamtąd Anglię, zamknął swój własny rynek drogą barier celnych, a także opanowuje coraz bardziej rynki europejskie. Z tego względu rozszerzenie wymiany handlowej z Dalekim Wschodem jest dla Anglii bardzo istotne. A Daleki Wschód to znaczy przede wszystkim Chiny - najchłodniejszy rynek i najbogatsza baza surowcowa tego regionu. Pamiętajmy, że Chiny są największym producentem ryżu, soi, herbaty; zajmują II miejsce w produkcji pszenicy, III - w produkcji bawełny. Eksportują w dużych ilościach niezwykle istotne dla przemysłu brytyjskiego surowce jak tuzsze, szczeni, rzadkie metale. Nic też dziwnego, że handel anglo - chiński stale się rozszerza - import Anglii w r. 1953 wyniósł 2,5 raza tyle co w roku poprzednim. Lipcową wizyta chińskiej delegacji handlowej była zapowiedzią dużego wzrostu wymiany anglo - chińskiej, bowiem w roku przyszłym ma ona, według przewidywań fachowców zamknąć się sumą 80 - 100 milionów dolarów wobec zeszłorocznego 25.

Pozytywny stosunek do kwestii przyjęcia Chin Ludowych do ONZ i usunięcia stamtąd przedstawicieli reżimu nacjonalistycznego wykazuje także dominia azjatyckie - Indie, Pakistan i Nowa Zelandia. Taką postawą członków rozpadającego się Commonwealthu wpływa niewątpliwie na stanowisko rządu brytyjskiego.

Realna sytuacja gospodarczo - polityczna pokrzyżowała plany sztucznej izolacji, jaką Amerykanie chcieli narzucić Chinom Ludowym w postaci „wspólnej blokady”, embargo gospodarczego i nieuznawania dyplomatycznego. W tej chwili piętnaście państw kapitalistycznych z Wielką Brytanią i Indiami na czele uznaje Chińską Republikę Ludową i utrzymuje z nią faktyczne stosunki. Konferencja geneńska przyniosła Chinom sukces na skalę światową. Mimo, że mocarstwa zachodnie nie zgodziły się na nadanie Chinom Ludowym pozycji prawnej mocarstwa zapraszającego; mimo, iż Dulles stwierdził w przeddzień konferencji, że nie jest to konferencja pięciu wielkich mocarstw, ale coś w rodzaju negocjacji w Panmun-dzon, oraz że USA gotowe są zastosować drastyczne środki, aby nie dopuścić do przyznania Chinom Ludowym prawa głosowania przy podejmowaniu decyzji w Genewie - Chińska Republika Ludowa wystąpiła w istocie jako jedno z wielkich mocarstw, miała nie tylko prawo głosu, ale odegrała decydującą rolę w przywróceniu pokoju w Indochinach. „Jeden czynnik przejął się na konferencji geneńskiej wyrażnie niż wszystkie inne - powiedział w angielskiej Izbie Gmin labourysta Wyatt - a mianowicie: bez względu na to, czy się to Amerykanom podoba, czy nie, Chiny wkroczyły na arenę światową”.

W tej sytuacji zupełnie dojrzała, a nawet nagła stała się sprawa likwidacji resztek reżimu Czang Kai-szeka, istniejących na Tajwanie pod osłoną VII floty amerykańskiej. Reżim ten, skompromitowany już w oczach całego świata, musi przestać istnieć dla dobra pokoju. I trzeba bardzo wyraźnie podkreślić, że ostatnia decyzja Centralnego Rządu Ludowego jest nie tylko wyrazem troski o zrozumiałe interesy narodowe - o jedność państwa chińskiego, o wyzwolenie całej ludności od jarzma rządów nacjonalistycznych, o uwolnienie ziem chińskich spod faktycznej okupacji obcego imperializmu.

Pirackie napady Czang Kai-szeka na spokojnie płynące angielskie, duńskie, japońskie, radzieckie czy polskie statki handlowe na wodach chińskich, napady wkrzeszające tradycje siedemnastowiecznych bandytów algierskich i amerykańskich filibustierów; prowokacyjna „blokada” wybrzeży chińskich, wreszcie ostatnie bezprawne i zbrodnicze akty samolotów amerykańskich dokonane wobec jednostek chińskich w rejonie wyspy Hainan - wszystkie to wskazują, że w intencjach Stanów Zjednoczonych leży wykorzystanie marionetki z Tajwanu dla ciągłego jądzenia sytuacji na Dalekim Wschodzie, dla prowokacji i wzmagania napięcia międzynarodowego.

Dlatego decyzję Rządu Ludowego o przyspieszeniu wyzwolenia Tajwanu musimy ocenić także jako krok zmierzający do normalizacji sytuacji na Dalekim Wschodzie, jako akt, mający na celu wzmożenie niebezpieczeństwa światowego i zapewnienie pokoju.

KAPŁAN A PRZEMIANY SPOŁECZNE

ZAGADNIENIA omawiane w ramach dyskusji o kapłanie społecznie postępowym należą do szczególnie trudnych i złożonych. Tym bardziej więc właściwe jest dokonanie pewnych uściśleń pojęciowych.

Na podstawie dotychczasowych wypowiedzi stwierdzić trzeba, że określenie „kapłan społecznie postępowy” używane jest co najmniej w dwóch różnych znaczeniach. W pierwszym z nich, szerszym, „kapłan społecznie postępowy” przeciwstawiamy „kapłanowi konserwatywnemu”; w drugim, węższym, mówiąc o kapłanie społecznie postępowym mamy na myśli kapłana społecznika, czynnie zaangażowanego w katolickim ruchu społecznie postępowym. Omówmy zagadnienie w aspekcie każdego z tych znaczeń.

• *

Kościół jest powszechny i uniwersalistyczny: istnieje dla wszystkich czasów i wszelkich ustrójów. Nie przeciwstawia się żadnej rzeczywistości poza jednym: przeciwstawia się tylko temu, co jest brakiem intelektualnym lub moralnym, błędem lub grzechem. Właściwa jest Kościołowi całkowita afirmacja: nic nie jest mu obce, wszystko chrzci, błogosławi, oczyszcza, podnosi wzywać. Niczego ani nikogo nie odrzuca.

W Polsce po II wojnie światowej powstaje nowy ustrój, nowy porządek, będący wyrazem postępu społecznego. Każdy kapłan już przez sam fakt, że jest kapłanem katolickim, kapłanem Kościoła Powszechnego, uznaje i akceptuje nową rzeczywistość, a spróbować całą pozytywną i twórczą treść dokonywających się przemian społecznych, musi być - w szerszym znaczeniu tego słowa - kapłanem społecznie postępowym.

Jeżeli chce siłą wiazać Kościół z mijającą epoką, zacieśniać Go do ram jakiegoś jednego porządku, powstrzymywać urzeczywistniające się przeobrażenia - dowodzi nie tylko nierozumienia historii, nieodwracalności procesów dziejowych, ale przede wszystkim wykazuje nierozumienie samej istoty Kościoła. Jeżeli w jakikolwiek sposób godzi się na przekształcanie Kościoła w ostoję starego ustroju i narzędzie w walce z nowym - tym samym nie pozwala na właściwą realizację Jego misji, próbuje świętokradzce nadużyć.

Kościół zawiera w sobie treść transcendentną: Jego nauka - to prawdy ponadczasowe, Jego cel najwyższy jest niezmienny - zbawienie duszy. Jednak obok treści istnieją w Nim forma, poprzez którą treść ta się wyraża. Forma ta, aby coś naprawdę wyrażać, musi być dostosowana do epoki, do środowiska, do psychiki człowieka.

Kościół istnieje w świecie, nie poza światem. Dlatego też kapłan katolicki musi tkwić w życiu, musi znać człowieka, jego potrzeby i braki, musi umieć do niego przemówić - znać jego język. W przeciwnym wypadku nie będzie mógł pełnić owoce swej misji kapłańskiej.

Epoki historyczne powstają jedne po drugich, stare porządki społeczne zostają obalone. Nie jest rzeczą kapłana stawanie na drodze tych przemian, tak jak nie do niego należy wybór czasów, w jakich żyje. Obowiązany jest do działania w ramach tego porządku, w jakim się znalazł. Poznanie człowieka nie może się dokonywać poza czasem. Nie jest możliwe zbliżenie do człowieka w oderwaniu od konkretnych warunków historycznych i społecznych, w jakich on aktualnie żyje. Dlatego jest rzeczą niezmiernie ważną, aby kapłan katolicki nie tkwił w abstrakcji, aby rozumiał otaczającą go rzeczywistość. Do niej musi dostosować swój język, styl swojej pracy, metody duszpasterskie.

W afirmacji tego, co pozytywne i twórcze, co stanowi prawdziwą treść nowej rzeczywistości, w jasnym widzeniu perspektyw, jakie się otwierają przed Kościołem w świecie socjalistycznym, w śmiałym realizowaniu Jego misji nadprzyrodzonej w nowych warunkach, za-

wiera się postawa postępowy kapłana katolickiego.

*

Każdy z nas głęboko tkwi w epoce, w której wyrósł. Uwarunkowania społeczne dotykają najgłębszych warstw świadomości. Dlatego jest rzeczą tak niezmiernie trudną przekroczenie granicy oddzielającej dwie epoki, dlatego czujemy niejednokrotnie tak głęboki lęk przed nową rzeczywistością. W tych warunkach szczególnie potrzebni są kapłani, którzy poza swymi funkcjami sakralnymi i ściśle kapłańskimi wezmą na siebie zadania społeczne, zaangażują się czynnie w nurcie dokonujących się przemian. Z tych zadań społecznych najważniejszym w dobie obecnej jest praca nad przekształcaniem świadomości społeczeństwa katolickiego, a przede wszystkim - całego duchowieństwa. Chodzi już nie tylko o to, aby widziano możliwość istnienia Kościoła w nowych warunkach społecznych, ale - aby ujrano szerokie perspektywy, jakie się przed Nim otwierają, pod warunkiem, że będzie naprawdę realizował swą misję, odrzucił cały balast skostniałych i przetrzymanych, zerwie powiązania ze światem burżuazyjnym.

Jesteśmy świadkami dokonywających się najbardziej zasadniczych przemian społecznych i gospodarczych. Powstaje nowe, naprawdę potężne państwo socjalistyczne. Jest ono budowane także rękoma katolików. Jednakże za narastającym procesami społecznymi i gospodarczymi nie nadążają przemiany świadomości społeczeństwa. Zbyt jeszcze często jesteśmy tylko statystami tej rzeczywistości, która obok nas wyrasta. Tu jest obliczmy zadanie przed kapłanem społecznikiem, czynnie zaangażowanym w ruch społecznie postępowy. Musi on sprawić, aby wszyscy katolicy zrozumieli sens tych przemian, w które są zaangażowani; musi ich natchnąć głęboką wiarą w to, że powstaje nowy ustrój sprawiedliwości społecznej, państwo, które zapewni dobrobyt i warunki rozwoju dla każdej jednostki; musi wreszcie sprawić, aby każdy katolik był w pełni zaangażowany w nową rzeczywistość, aby naprawdę uznał ją za swą własną, aby stała się dla niego, we właściwej skali - jego własnym dziełem.

*

W jaki sposób można przyczynić się do rozpowszechnienia postawy społecznie postępowej wśród duchowieństwa? Jak powiększyć szeregi kapłanów postępowych - społeczników? - W chwili obecnej katolicki ruch społecznie postępowy rozporządza motywacją nie do odparcia. Jak więc wytłumaczyć to, że tylu jeszcze kapłanów nie jest w pełni przekonanych o słuszności jego założeń? - Przyczyna jest jasna: problem nie jest wyłącznie intelektualny; przede wszystkim rozgrywa się na płaszczyźnie socjologicznej. Przeobrażenie świadomości kleru, jak zresztą całego społeczeństwa, jest procesem społecznym i tylko w ten sposób może być rozpatrywane. Proces ten przejść musi przez wszystkie swe fazy. Jak to zostało podkreślone w dyskusji, jest on uwarunkowany (poza elementami intelektualnymi i przekonaniami) przez cały szereg czynników, jak nacisk opinii społecznej, czy też nacisk osób pełniących w Kościele funkcje hierarchiczne. Znaczną rolę rolę odgrywają elementy ekonomiczne czy nawet psychologiczne.

Bez wątpienia proces przeobrażenia świadomości społecznej duchowieństwa może być w znacznym stopniu przyspieszony przez oddziaływanie intelektualne. Konieczne jest, aby każdy kapłan miał możliwość zetknięcia się z dostatecznie pogłębiłą motywacją założeń katolickiego ruchu społecznie postępowego, zapoznania się z wszystkimi jego aspektami. Będzie on wtedy w stanie zrozumieć, iż przesłanki tego ruchu wynikają z samej istoty katolicyzmu.

Ruch społecznie postępowy musi znajdować swój wyraz na płaszczyźnie intelektualnej w tworzeniu koncepcji katolicyzmu odpowiadającego epoce socjalizmu, w koncepcji coraz bardziej pogłębianej, coraz ściślej precyzowanej.

Dużą rolę w przeobrażeniu świadomości społecznej duchowieństwa odgrywa wychowanie i samowychowawcza praca kapłanów oraz alumnów seminariów. Najistotniejszą rzeczą jest tutaj pogłębianie ogólnej postawy ideowej kapłanów, jak również podwyższanie ich poziomu intelektualnego. Wiąże się też z tym ściśle walka z postawą oportunistyczną.

Jednakże decydującym czynnikiem w procesie przeobrażenia świadomości duchowieństwa jest sam katolicki ruch społecznie postępowy. Ruch ten, znajdujący swą formę w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego, grupuje już wielu kapłanów naprawdę ideowych, o dużym autorytecie społecznym. Są oni konkretnym dowodem, iż można łączyć postawę ideową z najgłębszym przeżyciem charakteru sakralnego kapłaństwa. Skonkretnym dowodem, iż oddanie sprawie tworzenia nowego sprawiedliwego ustroju społecznego u kapłana i u każdego katolika może i musi się łączyć z najgłębszą wiernością Kościołowi i Stolicy Świętej.

CHRYSZTIANIZM WOBEC ŚWIATA

(Dokończenie ze str. 1.)

„Nie będziesz zabijał” - uczą pierwsi chrześcijanie. Lecz aż do końca drugiego stulecia nie jest to dla ich uczniów kwestią jakichś wątpliwości sumienia. Aż do wieku X wojna jest uważana za rzecz całkowicie normalną. Dopiero zbliżanie się roku tysięcznego wywołuje pierwszą wielką reakcję Związków Pokoju i, Pokoju Bożego. Teologia wojny sprawiedliwej, zapoczątkowana w wieku XIII, rozwija się dopiero w XVI stuleciu.

Szeroko dyskutowano wpływ chrześcijaństwa na prawo rzymskie. Ostatnio wydane prace ograniczają ów wpływ do bardzo wąskiego zakresu. Zasada własności nie została formalnie potępiona i chociaż Kościół zaleca swym świętym całkowite wyrzeczenie się dóbr i w bardzo wczesnym okresie tworzy dla wiernych obrzydmiającą siłę miłosierdzia, to jednak w samą instytucję własności nie godzi. Instytucja pozostaje przy rzymskiej formule: „Qui suo iure utitur neminem laedit”. Ojcowie Kościoła głoszą nierozwrotność małżeństwa, lecz jeszcze w wieku V nie jest ona prawnie wprowadzona nawet przez cesarzy chrześcijańskich. Dopiero w roku 542 zostaje zniesiony rozwód za zgodą obu stron, a w roku 566 zyskuje on znowu moc prawną. Sprawy toczą się zatem w ten sposób, jakby moralność chrześcijańska nie miała wpływu na prawo i instytucje. Moralność i teologowie rzucają gromy na praktyki przeciwne tej moralności, lecz zwracają się oni do poszczególnych chrześcijan i zajmują ich indywidualnym postępowaniem, a nie usiłują tworzyć instytucji chrześcijańskich.

Podobne stanowisko, jak to przypominał Henri Marrou w swojej „Histoire de l'Education dans l'Antiquité” („Historia wychowania w starożytności”), zostało zajęte również w dziedzinie szkolnictwa. Kościół zajmując się wychowaniem religijnym, to znaczy wykształceniem dogmatycznym oraz wykształceniem moralnym chrześcijan. W pozostałych dziedzinach powleka ich szkołę pogańską, i to nawet w IV stuleciu, gdy państwo przyjęło oficjalnie wiarę chrześcijańską. Pogańskie uczą wówczas chrześcijan, chrześcijanie pogan. Chrześcijaństwo nadal ucza o Homerze, o nimfach i boginiach. Jedynie upadek państwowości starożytnej i konieczność objęcia aparatu tworzenia i przekazywania kultury, opuszczonego przez świeckich, doprowadziła do tego, że poczynając od VI stulecia Kościół zaczął zakładać własne szkoły.

Jeśli chodzi o pierwsze pokolenie chrześcijan, to zupełnie zrozumiałe wyłączenie zajęć ze Dobra Nowiny i jej głoszeniem lub też powszechna wówczas wiara w jednoznaczny bliski koniec Imperium i świata w nadchodzącej Paruzji może pozwalać wytłumaczyć ów brak chęci tworzenia cywilizacji chrześcijańskiej. Ale gdy to złudzenie upadło? Wszakże Konstantyn wyznosił chrześcijaństwo do najwyższej władzy. Czy wówczas zobaczymy powstanie prawodawstwa chrześcijańskiego? - Nie, i to nie - nawet na wyłączny użytek chrześcijan. Gdy nieco później duchowieństwo otrzyma specjalne przywileje jurysdykcyjne, to pozostaną one tylko jądrem wśród prawa ogólnego, bez wpływu na społeczeństwo świeckie. Twierdzone, że w okresie późnorzymskiego cesarstwa biskupi stali się niemal wszędzie *defensores civitatis*), to znaczy główną władzą miejską. Dziś zostało stwierdzone, że nigdy nie zostali obdarzeni tego rodzaju

urzędem. Jedynie z własnej inicjatywy przyjmują moralną odpowiedzialność za tę rolę, gdy w wieku V i VI dawne władze zalamują się pod ciemnymi barbarzyńcami. Tylko Kościół zachowuje wówczas swoją organizację, swoje zasoby i tradycje - do kogóż więc innego miano by się zwracać? Lecz, jak to napisał Ferdinand Lot, biskup „wtrąca się we wszystkie sprawy, ponieważ jest o to proszony przez wszystkich”. Tak samo wszakże, jak poprzednio - nie myśli on o tworzeniu „doczesnego porządku chrześcijańskiego”. Wkrótce na ruinach państwowości starożytnej zakonicy dokonają dzieła cywilizacyjnego wielkiej wagi, lecz uczynią to jakby bezwiednie. Przeczytacie ich reguły: celem pracy zakonnej, owej monumentalnej pracy, w której wyniku zostaną wykarbowane lasy, odbudowane wsie, założone nowe miasta, powstanie cywilizacja rolnicza - nie jest budowanie Europy, lecz walka z lenistwem i zdyscyplinowanie ciała. Zostało to sformułowane przez ustawy zakonne, że praca owa powinna mieć charakter działalności całkowicie bezinteresownej, obojętnej na wyniki i mającej na celu wyłącznie utrzymanie klasztoru i prowadzonych przez niego instytucji.

Dopiero poczynając od VII stulecia Kościół znacznie bezpośrednio wraść w świeckie ustroje instytucje, tak, iż przed reformą gregoriańską omal się w nich nie rozplynie; d r o g a f a k t ó w w zawiązywać się będą coraz ściślej - więzy pomiędzy Kościołem a władzą świata świeckiego - w wyniku niespodziewanego przejścia po cesarstwie dziedzictwa, którego Kościół ani nie poszukiwał, ani nie pragnął. Później ta nowa sytuacja stanie się dla teologów podstawą do wysnućia powszechnie znanej teorii. Ją to właśnie Maritain nazwał utopią teokratyczną. Przeciwnie do tego, co sądzi wielu ludzi, nie była ona oficjalną doktryną ani praktyką średniowiecza, lecz tylko teoretyczną tezą duchownych. Stanowiła ona najświeższą pokusę dla średniowiecznej społeczności chrześcijańskiej, lecz zawsze napatykała na opór w wysuwany przez Kościół rozróżnienie dwóch władz i dwóch społeczeństw. Nie ograniczała się ona przy tym do twierdzenia, że bezpośrednim dążeniem wiary powinno być organizowanie świata. Na skutek pewnego rodzaju świętej niecierpliwości i nawrotu do pokusy, której niegdyś uległ świat żydowski, chciała ona natychmiast i ustawowo stworzyć na tym świecie Królestwo Boże podległe doczesnej władzy królewskiej papieża.

Do największej kracowatości doprowadził tę doktrynę Gilles de Rome w swoim traktacie o władzy królewskiej, ogłoszonym w roku 1302. Papież, będący najdoskonalszym i najświętszym urzędnikiem państwa, jest oświadczeniem doskonałym i świętym. Na mocy samego faktu, że posiada najwyższą władzę duchowną, posiada jednocześnie najwyższą władzę doczesną. Twierdzenie, że dwie władze pochodzą bezpośrednio od Boga, jest fałszywe: władza królewska istnieje tylko dzięki pośrednictwu władzy duchownej i otrzymanym od niej pełnomocnictwem. Podobnie najwyższe posiadanie wszystkich dóbr ziemskich „przysługuje Kościołowi i nikt nie może niczego posiadać inaczej, jak tylko dzięki Kościołowi i w zależności od Niego. Władza papieska jest zatem „nieograniczona, przekraczająca wszelką miarę i wagę”. Lecz nie ulegajmy wrażeniu, jakie robi ta monumentalna synteza. Natychmiast po swym ukazaniu się spotkała się ona ze sprzeciwem i nigdy nie była ni-

czym innym, jak marzeniem zakonników nazbyt pochopnie przenoszonych w konkretną rzeczywistość historii wyniki swoich medytacji obciążonych rozważaniami nad absolutem. Historycy chrześcijańscy i niechrześcijańscy wykazali i dzisiaj, że - poza owymi traktatami - nigdy nie doszło do pełnego i doskonałego opanowania państwa przez organizm chrześcijaństwa, chyba tylko w nostalgicznym marzeniu kilku współczesnych chrześcijan, że przystosowanych do walk toczonych w ich czasach i poszukujących w tych marzeniach kompensacji.

Przykłady zacierania dziedziny form życia publicznego, gdyż one to najlepiej przemawiają do większości ludzi. Można by ich wskazać z równym powodzeniem poszukując w dziedzinie filozofii czy sztuki. Dawne pokolenia chrześcijan nie usiłowały stworzyć nowej sztuki ani nowej myśli, tak samo jak nie usiłowały budować państwa różnego w swych materialnych formach od państwa starożytnego. Powszechnie wiadomo, w jak znacznym stopniu średniowiecze żyło na bazie myśli starożytnej. Rozkwit zaczątków myśli chrześcijańskiej nastąpił w zakresie teologii i etyki, natomiast aparat pojęciowy był tworzony lub przetwarzany tylko o tyle, o ile to było użyteczne dla sprecyzowania dogmatu i prowadzenia nauczania. Gdy święty Tomasz dochodzi do przekonania, że platonizm grozi niebezpiecznym skrzywieniem nauki chrześcijańskiej, występuje przeciw niemu w oparciu o innego pogańca - Arystotelesa, czyniąc obróć Słowa. Podobnie przebiegały sprawy w dziedzinie sztuki: pierwsze Kościoły albo zajmują dawne bazyliki albo są budowane według ich planu. Chrystus jest początkowo przedstawiany pod postacią Bachusa. Znacze wszak synny list świętego Grzegorza do Melitusa w sprawie budowania kościołów: „Nie należy burzyć świątyni bóstw pogańskich czczonych przez Angłów. Wystarczy zniszczyć mieszczące się w nich posągi bóstw. Następnie trzeba pokropić budynki wodą święconą, zbudować ołtarze i umieścić w nich relikwie. Jeżeli świątynie te są solidnie zbudowane, ważne jest, by przestały służyć czci szatana, a zaczęły służyć prawdziwej czci Bożej. Lud widząc, że świątynie nie są zburzone, oczyści swe dusze ze zmyślnego, a poznawszy i uwielbivszy prawdziwego Boga, chętniej będzie się zbierał w miejsca, do których nawykł”. Po czym Grzegorz kończy wnioskiem: „Każdy, kto chce osiągnąć szczyt, musi posuwać się stopniowo, krok za krokiem, a nie gwałtownymi skokami”. Wszystko to świadczy, że całą uwagę papieża pochłaniają sprawy wiary i obyczajów, środki zaś są mu całkowicie obojętne, byle tylko duch, który je ożywia, był właściwy. Daleko tu od prób znalezienia plastycznego wyrazu dla dogmatu, od wybuchów gotyku nadającego strzelistość modlitwy chrześcijańskiej ciężkim gładem lub też od bogactwa baroku przekładającego na język formy kanony Snoboru Trydenckiego występującego przeciw luteranckiej teorii łaski.

Emanuel Mounier

*) Kto korzysta ze swego prawa, nie krzywdzi nikogo.

*) W związku z powyższymi zagadnieniami - patrz niedawno wydana praca zbiorowa Editions Ouvrières: „Histoire religieuse et structures temporelles” („Natchnienie religijne a ustrój je świata doczesnego”).

*) Odniesienie misji.

PISARSTWO MĄDREGO NAUCZYCIELA



Igor Newerly

Wszystkie trzy powojenne książki Igora Newerly: „Chłopiec z salskich stepów”, „Archipelag ludzi odzyskanych” i „Pamiętka z celulozy” ujęły licznych czytelników ogromną jasnością, wyrazistością i szlachetnością tendencji. Nie jest chyba rzeczą przypadkową, że właśnie u autora, który stworzył czołową powieść naszych czasów, jaką jest „Pamiętka” — angażuje czytelnika to, co zwykle jest uważane za balast: tendencyjność. Jest rzeczą ciekawą, jak mądry twórca potrafi pozostawić na boku spory teoretyczny spod ciemnej gwiazdy — tworząc fakty kompromitujące ich wątpliwości. Prawdziwą oczywistością bohatera pozytywnego jest powieść młodzieżą. Tajemnica bohatera pozytywnego w książce młodzieżowej polega chyba na ogromnym natężeniu emocjonalnym stosunku, który autor wywołuje w czytelniku, stosunku warunkowanym odnośnieniem się samego autora do swego bohatera, a następnie stopniem dystansu au-

torskiego wobec opisywanych wydarzeń. Procesy te bardzo dobrze możemy prześledzić u Newerlygo.

Bohater pozytywny nie będzie ani uproszczony, bo upraszczać można dopiero to, co jest uprzednio skomplikowane; nikogo nie razią zbytym uproszczeniem dobrze zrobione postacie w książkach młodzieżowych, gdyż przedstawione są przez autora zajmującego nadrzędną pozycję w tym zakresie, w którym oglądane są oczyma młodzieży. Nie będzie też wyprany z cech ludzkich, jeśli przyjmujemy, że do tych ostatnich zaliczają się nie tylko ludzkie małości, ale że heroizm, odwaga, męstwo, szlachetność itd. są cechami najbardziej ludzkimi, które spotęgowane w jednostce potęgują jej człowieczeństwo.

Takim zastrzykiem człowieczeństwa był „Chłopiec z salskich stepów”. Powieść ta miała prostą i nader łatwo dającą odczytać się tezę: wykazać, że pomimo hitlerowskiego zdania Gorkiego — „Człowiek — to brzmi dumnie” — nie straciło na aktualności. Teza, która mogłaby z powodzeniem być tematem wypracowania szkolnego, w którejś tam klasie licealnej. Zresztą pozornie oczywistość tezy nie implikuje bynajmniej łatwości napisania książki. Przeciwnie nawet — im jest ona „banalniejsza”, tym trudniej ją wyrazić interesująco — zwłaszcza dla młodego czytelnika. A zresztą dla wielu zaraz po wojnie oczywistość tej tezy nie była aż tak jasna. W „Chłopcu z salskich stepów” oglądamy ludzi od strony ich bohaterstwa. Można by powiedzieć, że jest to książka o samych bohaterach pozytywnych. Tylko oni się liczą, tylko o nich warto pisać. Dr Burów, Kiczka, Łońka, dr Klukwa, Iśka i oboje jej rodziców, i wiele wiele innych

tworzą właściwie zaludnienie powieści. Dopiero na takim tle dobrze człowieka został pokazany hitlerowski obóz koncentracyjny. Właśnie tak, a nie przeciwnie. Zamiat korków pozytywnych bujących na fali ohydy jest człowiek stanowiący realną siłę dobra, mogący wypełnić pustkę zła i zbydlęcenia. Zło jest małe, nie warto uwagi — może szczyty litości; dobro jest piękne i silne. W „Chłopcu z salskich stepów” sam fakt nagromadzenia ludzi porządných, uczciwych, szlachetnych jest sposobem udowodnienia tezy autorskiej. Ta okazała ilość bohaterów pozytywnych musi być różnicowana — i jest zróżnicowana psychologicznie i wieloplanowo ułożona w powieści. Ponieważ autor nie rozstrząsa zbyt drobiazgowo zawłóci ludzkiej duszy, a ludzi charakteryzuje przede wszystkim i prawie wyłącznie w działaniu, więc nawet pierwszoplanowe postacie zaznaczone są dosyć grubym konturem, przez wydobycie pewnych cech charakterystycznych. Począwszy mruk — Kiczka, odważny i przemyślny Łońka, energia i silna wola — dr Klukwa. Ale w ramach pokazanych przez autora są to silne indywidualności, a nie pozytywne cechy chodzące na własnych nogach. Autor boki nie daje im odoczywać, prowadzi od akcji do akcji, od przygody do przygody, w myśl zasady, że fakty najlepiej mówią za siebie; udowadnia godność człowieka w największym pogńębieniu Komorowa i Majdanka.

Być może, że fakt biograficzny — nauczycielstwo Newerlygo dość silnie zaważył na jego książkach. Stąd zapewne, z wypracowanego stylu obcowania z młodzieżą — pewna jasna tendencyjność wykładu i prostota sformułowań.

Czuje się w tych książkach dystans pomiędzy autorem a wydarzeniami i wielką ostrożność w formułowaniu osądów, dbanie o ich słuszność i precyzję. Konsekwencją jest brak przejawów i przerysowań, stosowanie chwytów najdźwolejszych z dozwolonych. Ta metoda Newerlygo — pedagoga biegłego po krzywej w kierunku wychowywania coraz to starszych dzieci, aż do zupełnie dorosłych, którym poświęcona jest „Pamiętka z celulozy”.

W „Pamiętce z celulozy” obserwujemy więc rozwój bohatera pozytywnego. Jego siła przekonywająca płynie stąd, że nie jest on *porte-parole* autora. Autor umieszcza się wyżej ponad bohaterami i całokształt opinii wyrażonych w książce nie wyklada słowami i działaniem jednego tylko człowieka. *Porte-parole* autora jest całokształt ocen i poglądów wyrażonych w książce. Tak więc Szczesny nie jest wyrazicielem idei autorskich, choćby z tego względu, że nie jest postacią ideowo-styczną, przechodzi ewolucję poglądów. Są jednak w „Pamiętce” również postacie pozytywne statyczne, także całkiem pozytywne, którym — wydawałoby się — aureoli tylko brakuje do świętości i taką postacią jest np. Olejniczak. A jednak gdyby ktoś powiedział, że Olejniczak jest papierowy i niedokrwisty, miałby prawo usłyszeć, że o braża Olejniczaka. Jest on osobą żywą nie tylko dlatego, że autentyczną z pełnym życiorysem w odnośniku, ale i dlatego, że jest literacko — przekonujący, że bardzo przypomina bohaterów z „Chłopca”, bohaterów, których należy ob-

darzać szacunkiem. A dlaczego jest taki? Bo patrzymy nań nie oczyma autora, ale oczyma Szczesnego, młodego rewolucjonisty, dla którego Olejniczak jest autorytetem wychowawczym.

Newerly zawsze dokonuje oceny, nigdy się od niej nie uchyla. Pisze o tym, o czym ma wyrobić sąd. Czy ocena jest wyrażona *expressis verbis*, czy pośrednio poprzez działania bohaterów — zawsze jest ona jednoznaczna i wyraźna. Jeśli autor widzi coś złego w człowieku, zawsze to nazywa po imieniu. Nawyk pedagoga. Tak więc np. w chwili, kiedy Madzia nie chce mimo posiadanego talentu, zająć się pracą literacką, uważa bowiem, że wprawdzie jest na walce, a potem, w dalszej kolejności na literaturę, Newerly potrafi wyrazić swój sąd zdecydowaną reakcją Szczesnego. Nie obawia się skazy na ciele swoich bohaterów, ale nie pozwala, by nie została ona ukazana i osądzona wyraźnie.

Z drugiej strony, jeśli określa postacie — powiedzmy — ludzi klasowo obcych, to postacie te są sympatyczne, o ile są uczciwe. Wobec takich sympatycznych postaci jak Czerwaczek (zwłaszcza ten z filmu) i Jasińczyk — autor nie zajmuje postawy wrogiej, zajmując postawę człowieka znającego ich uwarunkowania społeczne, ale bynajmniej nie tworzącego ze swych bohaterów ilustracji tych uwarunkowań. Nawet Korbal nie był subiektywnie zły. Chciał tylko iść ułatwioną drogą i tak ją sobie ułatwił, że obrócił się o 180 st. Korbal z arki i Korbal-poseł, to jakby dwie różne osoby. Tak wa-

runki zdrady robotniczej demoralizują Korbal. W „Pamiętce z celulozy” w sposób śmiały a ciekawo postawiona jest problematyka moralna, właśnie moralna, choć moralność jest tam w założeniu klasowa, maksymalnie zrelatywizowana. Ten relatywizm powoduje pobłażliwość wobec osób z drugiej strony barykady, pobłażliwość polegającą na poprzestaniu na samej relacji bez wchodzenia w sferę subiektywnych pobudek. Ten subiektywizm jednak jak oliwa wpływa na wierch. I musi wpływać, bo Newerly jest pisarzem humanistycznym. Humanizm nakazuje Newerlymu — wychowawcy zawiązywać konflikty najtrudniejsze. Bo czyż nie do najtrudniejszych należy tragedia Dorotki pokrzywdzonej przez Kubę Pruszczyka, konflikt tym bolesniejszy, że zachodzący wśród dzieci, gdzie hamulce racjonalne są o wiele mniejsze. I chociaż rozwiązanie tego konfliktu jest jedną z najmniej przekonywujących kart książki, to umożliwione jest tylko tym, że rozgrywa się pomiędzy ludźmi dobrymi — tylko bowiem wśród ludzi dobrych może zachodzić tragedia optymistyczna.

Pisarstwo Igora Newerlygo bawi na dobroci ludzkiej — na dobroci jakiejś potencjalnej; kto nie jest dobry, mija się jakby ze swym przeznaczeniem, tak jak wychowawca Berkacz z „Archipelagu” czy Korbal. Zepsuły ich warunki. I właśnie w tej filozofii pozytywnego bohatera leży siła wychowawcza wszystkich trzech powieści — w filozofii, chciałyby się powiedzieć, socjalistycznego humanizmu.

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

FESTIWAL KONTRASTÓW

JEZELI przyszyłoby mi określić jednym słowem IX Festiwal Chopinowski w Dusznikach, nawałnym go bez wahania festiwalem kontrastów. Przeciwnieństwa bowiem piętrzą się w nim i narastają, od spraw zasadniczych, aż po najbłahsze. Znamy te przeciwnieństwa z problemów roztrząsanych na forum publicznym, z postulatów, w imię których ostrzyżemy pióra. Znamy je, bo pełne jest ich nasze życie kulturalne, świat naszych zainteresowań i potrzeb muzycznych. I choć zdawało się, że muzyka Chopina — bliższa ponad inne — odbiegła od tych konfliktów, że wszystko to, co powiedział na pięciolini Chopin, jest tak polskie, iż nie wymaga słowników, ani nauczycieli — festiwal dusznicki odbił się echem tych samych bolączek i kontrastów. I dlatego, idąc śladami dni festiwalowych, wstąpimy w kraj pozornej niekonsekwencji i paradoksu.

Z Chopinem spotyka się przybywający do Dusznik co krok: w dziesiątkach podobizn wizerujących z witrzyn sklepowych, w setkach plakatów przylepionych do murów i drzew. Gospodarze bowiem starają się zrobić wszystko, by jeszcze bardziej spopularyzować osobę Kompozytora. W gablotach przy głównych alejach umieszcza się notatki z życia wielkiego muzyka, charakterystykę jego dzieła. Urządza się wystawę plastyków nazwaną „Szlakiem Chopina”, festiwal filmów muzycznych z „Młodością Chopina” na czele, konkurs gazetek scenicznych o Kompozytorze. Informuje się, pielęgnuje pamięć dusznickich występów młodego Fryderyka. Nawet główne źródło w parku nazywa się „Pieniawą Chopina”.

Założenia organizatorów są jasne. Festiwal musi stać się pewną formą upowszechniania muzyki Chopina, musi najpierw, zbliżyć nieprzygotowanego słuchacza do osoby kompozytora, zapoznać z jego życiem, dążeniami. I dopiero wtedy, gdy nazwisko muzyka przestanie być pustobrzmiącym wyrazem, a rzeczą się powinna potrzeba poznania dzieła, będąca zrozumiałą konsekwencją poznania twórcy. I tuż przed rozwiązaniem znalazły te założenia w praktyce. Niewiele wśród kuracjuszy — ludzi różnych ifer i zawodów przeciwstawiło się sugestii plakatów i fotografii. Notatki, fragmenty, dane biograficzne z życia Chopina — zostały przeczytane, przyjęte i zaszklakowane

ne. Twórca zbliżył się do odbiorcy, ale jego tworzywo pozostało martwe. Najlepiej mówią o tym fakty.

Dusznicki - Zdrój zorganizowały w ramach festiwalu pięć koncertów. Z koncertów tych tylko dwa posiadały przyzwoitą liczbę publiczności, na pozostałych — ani słowa nazwisk, ani urok osobisty wykonawców nie wpłynęły na wypełnienie choćby połowy małej sali Domu Zdrojowego. Tajemnicę powodzenia dwóch pierwszych koncertów też została szybko odkryta. Koncert Szymanowicza był występem inauguracyjnym, więc trzeba było się pokazać; w drugim — chcieli, by zobaczyć śpiewaczkę. Dosłownie — nie usłyszeć, a zobaczyć, bo tu ważny był nie Chopin, ale Woytowiczówna. Dlatego też większość publiczności niecierpliwiała się, gdy Tadeusz Żmudziński wypełniający pierwszą część koncertu kilkakrotnie bisował. Po występie laureatki „Wiosny Praskiej” zachwycono się jej urodą, ualecią, swobodą zachowania. O tym, że Stefania Woytowicz odniosła znaczny sukces w interpretacji chopinowskich pieśni — mówiono najmniej. Komentarze po koncertowe są zresztą najlepszym dowodem, czego na koncercie szuka dany słuchacz i co z niego wynosi.

W czasie występu inauguracyjnego wydarzył się pewien przyjemny incydent. Po ostatnim preludium z op. 28 kończącym recital, ktoś z organizatorów wręczył wykonawcy, Zbigniewowi Szymonowiczowi, wianeczek czerwonych goździków. Artysta podziękował, a potem szybko przeszedł koło fortepianu i złożył otrzymane kwiaty obok stojącej na postumencie pięknej głowy Chopina z warszawskiego pomnika w Łazienkach.

Pianista „odkupił” swój czyn sześcioma bisami, a naajutrz komentując koncert, mówiło się nie o świetnie wykonanej balladzie g-moll, nie o czterech mazurkach z opusu 41, ale o wianeczek czerwonych goździków złożonych u głowy mistrza.

Obojętność dla sztuki Chopina sięga jeszcze dalej. W całym parku rozwieszono głośniki by ci, którym zbrakło miejsca w sali, mogli i tak wszystko słyszeć. Przebiegłem aleje parkowe w czasie koncertu Klary Langer - Daneckiej, w czasie wspaniale wykonanego poloneza As-dur. Ludzie spacerowali obojętnie, popijali wodę

źródłaną, rozmawiali nie zwracając uwagi na dźwięki płynące z głośnika. Udało mi się jedynie podłuchać zdanie jednej kuracjuszki, zwracającej się tymi słowami do admirujących ją panów: „kiedy oni wreszcie przestaną walić, skończą się już raz ten cały festiwal, bo uszy puchną”.

Obok tego ignorancja muzycznego spotykamy, rzecz jasna, przede wszystkim słuchacza pozytywnego. Opis tych pozytywów wydał się jednak zbyt czysty i może być ograniczony stwierdzeniem, że na ich tle kontrasty zgromadzone wokół zagadnień muzyki chopinowskiej nabierają specjalnie ostrych odcieni. Co się natomiast dzieje z oficjalnymi miłośnikami sztuki Chopina? Choć festiwal w Dusznikach obliczony jest głównie na tamtejszy teren, na ludzi zgromadzonych w Dolnośląskich uzdrowiskach: Dusznikach, Kudowie, Polanicy, Kłodzku — to jednak hotele i wszystkie wolne pokoje przygotowane są na przyjazd gości z całego kraju. Goście ci jednak nie przyjeżdżają. Ostatni Festiwal zarejestrował — poza ludźmi przybywającymi do Dusznik służbowo, więc przedstawicielami władz, świata muzycznego, radia i prasy — zaledwie kilka osób zjawiających się amatorów. Gdzież więc jest konsekwencja słów i czynów? Będąc kibicem LKS jedziemy ze swym klubem do Krakowa na spotkanie z „Gwardią”. Będąc wielbicielem Chopina rezygnujemy z wyjazdu do Dusznik na spotkanie z jego muzyką.

Muzyka festiwalowa rozszerzyła się w tym roku poza teren Dusznik do Kudowy, Polanicy, Szczawnego-Zdroju i Łądku. Udział w tegorocznych koncertach wzięli: Zbigniew Szymonowicz, Tadeusz Żmudziński, Regina Smendzianka, Klara Langer - Daneczka — fortepian, Stefania Woytowicz — śpiew, Zygmunt Kęstowicz — recytacja i prof. Lefeld — akompaniament.

I tu zjawia się największa niespodzianka i dalszy ciąg festiwalowych przeciwnieństw. Rzadko spotkać można bardziej różne koncepcje interpretacyjne Chopina od tych, jakie zaprezentowały nam dwie indywidualności: Smendzianka i Langer-Daneczka. W tych dwóch koncepcjach Smendzianka jest bezwzględnie bliższa prawdy, bliższa Chopina, z którym zżyliśmy się poprzez najlepsze tradycje pianistyczne. Chopin Daneckiej jest nowy, indywidualny i... chyba niesłuszny, a jednak godny finałów

konkursów szopenowskich. Pianistka obdarzona jest wielkim talentem. Szkoda, że właściwe czynniki nie zainteresowały się dotąd tak świetnie rozwijającą się artystką. Szkoda, że nie ustawiono dotąd jej stylu i właściwej interpretacji. Dobrze by było, żeby talenty tej miary znalazły odpowiednią opiekę i ocenę.

Wreszcie akcent końcowy. W parku zdrojowym, naprzeciw kłombów kwitnących szalwią i ageratum przycupnął w starych wawach mały pawilon. W budynku tym, ku wielkiej radości przybywających na festiwal muzyków i wszystkich interesujących się wydawnicztwami muzycznymi, od czterech lat w okresie festiwalu otwiera punkt sprzedaży Wrocławskiej Księgarni Muzyczna „Domu Książki”. Księgarnia ta ma już swoją tradycję i markę. Przyjeżdżający do Dusznik goście tu właśnie kierują swe pierwsze kroki przekonani, że wynajdą dla siebie coś ciekawego i wartościowego.

Placówka muzyczna „Domu Książki” — reprezentowana przez wieloletniego fachowca w tej dziedzinie, Eugeniusza Jaroszewskiego i Barbarę Bukowiecką — może być wzorem dla wszystkich tego rodzaju instytucji w kraju, nie wyłączając Warszawy.

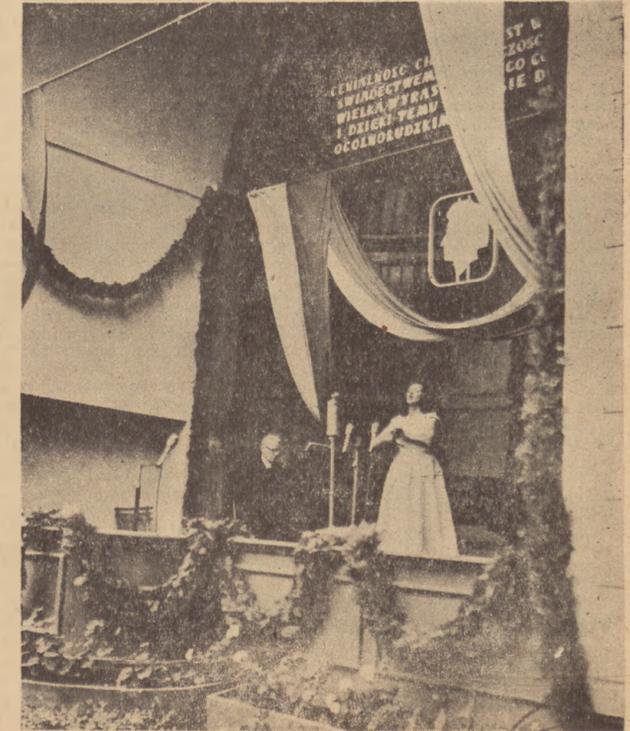
Coroczne festiwale w Dusznikach są cennym wkładem w podnoszenie poziomu kulturalnego ludzi naszych czasów. Na pewno warto urządzać je nie tylko dla tych, których trzeba zdobywać dla Chopina, tych przechodzących obok jego muzyki obojętnie, ale i dla tych, którzy wędrując po dusznickich okolicach piszą na przygodnych płótnach takie oto proste słowa: „Jeśli chcesz zrozumieć i pokochać muzykę Chopina, jeśli chcesz odczuć jej piękno, musisz szukać tam, skąd sam szukał natchnienia, musisz sam mieć polską duszę, wtedy pojmiesz, że w muzyce tej nie ma dla ciebie żadnych tajemnic”.

*

W liście Chopina pisany do Wilhelma Kolberga w roku 1826 znajdują wiele analogii z dzisiejszymi Dusznikami. I dziś, jak wtedy, w parku kwitną kwiaty, pieni się źródło, po ślicznej alei z kasztanów przechadzają się pary, a w reprezentacyjnym lokalu miejscowa orkiestra przygrywa gościom najnowsze kawalki: „gdy tańcząc z tobą” i „pozdrowienia od gór”.



W pięknych Dusznikach, w których przed laty gościł i koncertował szesnastoletni Chopin, oddajemy każdego roku hołd Jego sztuce. W parku, przy zdroju, w alejach, rozbrzmiewających dziś polską mową, mówi też pamięć o wielkim kompozytorze, mówi urzekająco w Dni Festiwalu Jego muzyka.



DOJRZAŁOŚĆ NIEPOKOJĄCA

WILHELM Mach na dobre już chyba porzucił krytykę literacką. Właściwie nie powinno być to być zaskoczeniem; powołano pisarza nie odezwał się w autorze „Jaworowego domu” ani nagle, ani też dopiero teraz — w pierwszych rocznikach „Twórczości” obok licznych recenzji i esejów literackich Macha znajdziemy i jego opowiadania. Można więc mówić o równoległości ujawnionych zainteresowań, o niemal równoczesnym starcie w obu dziedzinach. Ale wybijający się wówczas krytyk przysłał na siebie początkującego prozaika. Recenzje i artykuły krytyczne „robili” ich autorowi nazwisko, natomiast opowiadania, które znalazły się później w tomie „Doświadczenia i przypaźki”, miały jakoś nie dostrzeżone. Bo też był krytykiem nie z przypadku, lecz z prawdziwego zdarzenia, i nie dziwnego, że pierwsze próby prozatorskie długo jeszcze pozostawały w cieniu rzucanym przez prace krytyczne tak dobre, jak choćby „Kwitnące krzyże”, rzecz o „Z kraju milczenia” Wojciecha Żukrowskiego. Nie trzeba przypominać, że książka ta miała ogromne powodzenie nie tylko u czytelników, ale i u recenzentów — omawiały ją najmocniejsze pióra; trzeba jednak przypomnieć, że właśnie głos Macha, choć wypowiedziany najwcześniej, pozostał głosem najbardziej ważkim. Jak się rzekło, własne plany twórcze pozostawały czas jakiś w cieniu, na uboczu, aż wreszcie wezbrały w powieści i uważny sędzia cudzych dokonań pisarskich sam z kolei stanął w roli podsądnego. „Rdzy”, debiut powieściowy Macha, oceniono surowo, głównie dla jej błędnych założeń ideologicznych; pokazało się jednak,

że wnikliwy krytyk nie jest zablakany na trudną drogę powieści intruzem i ma poważne zadatki na tegoż pisarza. Odtąd Mach-krytyk, wypierany przez Macha-powieściopisarza, odżywa się coraz rzadziej i trudno jego dziś już faktycznego milczenia dotkliwie nie odczuć. Ale porzućmy te smętne rozpamiętywanie, być może, milczenie to jest przejściowe i przedwcześnie szukujemy Machowi-krytykowi uroczysty pogrzeb. Na następne książki po „Rdzy” trzeba było czekać blisko cztery lata, aż do ostatnich miesięcy, ale przyszyły za to dwie, prawie razem: „Doświadczenia i przypaźki” i „Jaworowy dom”. Tom drobiazgowy, zebranych z ośmiu czy dziewięciu lat, i nowa powieść o współczesnej wsi.

Właśnie „Jaworowy dom”. Bardzo ciekawa i bardzo dziwna książka. Dziwna i ciekawa przede wszystkim swoją odmiennością i od „Rdzy” i od ogółu powieści współczesnych; odmiennością problematyki, metody pisarskiej, rodzaju prozy. Zaskakuje tym, że w obrazie dzisiejszej wsi wybijają na plan pierwszy konflikt, z którego istnienia i aktualności mało kto zdaje sobie sprawę, a już najmniej ten, kto styka się z nią przez lekturę współczesnych powieści. Jest to powieść z pozoru niewymyślnie prosta, a w istocie złożona i chytrze obmyślana. Jest jakaś naiwna i jakby nadmiernie dojrzała zarazem. Spokojna i niecierpliwa. Chłodna, beznamietna, a jednocześnie poczyna z gorącego odczucia pokazanych spraw.

Najpierw słów parę o tym problemie, który stanowi powieściowe sedno, który najbardziej uwiera sumienie pisarza. To los chłopskiego dziecka, poniewieranego przez ojca-

zwyrodnialca, który wręcz dyblę na życie syna, dziecka nieszczęśliwego, pozbawionego możliwości kształcenia się, rozwoju swych uzdolnień. Przyznam się otwarcie, że początkowo problem ten zdziwił mnie i zaniepokoił; wydał się w obecnych warunkach życia na wsi anachronizmem, choć z drugiej strony wiedziałem, że Mach zna wieś nie z za biurka i że trudno przypuścić, by stwarzał urojone czy też wskrzeszał przebrzmiałe konflikty. Ale mały Bolek Jawor, tak ciężko w swym krótkim życiu doświadczony, nie jest problemem hermetycznym; w jego dziejach odbija się znamienne dla naszych czasów starcie sprzecznych sił: tej, która odchodzi i którą reprezentuje ojciec Bolka, i tej, która powstaje, rodzi nowe spojrzenie na świat, nową świadomość społeczną. Troska o los chłopca staje się powoli wspólna całej wsi; to już nie sprawa rodzina między synem a ojcem, ale sprawa społeczeństwa, które odpowiedzialność za nią musi wziąć na siebie. Tak też dzieje się w „Jaworowym domu”, tylko że to poczucie odpowiedzialności zbiorowej powstaje spontanicznie, pod świeżym wrażeniem zbrodni Konstantego Jawora; jest bardziej odruchem oburzenia niż objawem rzeczywistej dojrzałości. Bolek nie może sam poddać przemożnej woli ojca i pokierować swym losem, a ludzie, którzy chcą mu pomóc, zabierają się do tego tak niemrawo, że gdyby nie przypadkowy zbieg okoliczności ułatwiający interwencję, nie wiadomo, jak długo by chłopak czekał jeszcze na decydujące dla siebie rozstrzygnięcie. Zresztą jest w tym z pewnością sporo — prawdy, że silne wstrząsy przyspieszają rozwój świadomości tak jednostek, jak i ogółu, ale z drugiej strony trudno nie zauważyć, że w „Jaworowym domu” bohaterowie negatywnie wielokrotnie przewyższają aktywnością swych pozytywnych partnerów; może jest to spowodowane ustawieniem ich na różnych planach powieściowej ważności, w każdym razie Myroń z Jaworem stale coś „miesztają”, a tamci wiele mówią, ale do przeciwdziałania niebardzo się kwapią.

JEST wielką zaletą powieści Macha, poważnie wzbogacającej naszą literaturę o wsi, że istotę konfliktu współczesności chwycił w nowym wcieleniu, odrzucając wielokrotnie już wyszukaną prymitywną konwencję, które nie mając się głównych bohaterów „Jaworowego domu” (z niektórymi bohaterami podrzędnymi rzecz ma się inaczej, ale o tym później), a już wyraźnie kłocą się z Bolkową niedołą. Do Bielawy, zapadłej wioski gdzieś w Rzeszowskiem, dociera powiew wielkich przemian idących przez nasz kraj; dociera, i powoli, opornie przyjmuje się. I tu czytelnika zaskakuje niespodziewane uszytywanie, bo w powieści, kto był gotów na przyjęcie rewolucji, tego wciąga ona w swój nurt, porwuje z sobą; kto nie, ten pozostaje na uboczu. Żadnych stanów pośrednich, jakiegoś uznania nowego porządku poprzez afirmację jego osiągnięć, er post, a nie a priori — w „Jaworowym domu” nie ma. Od początku powieści rysują się — poza kilkoma postaciami o nijakim obliczu ideowo-moralnym — właściwie dwie grupy ludzi, które nie zmieniają swego składu osobowego: jedna walczy z okupantem i przygotowuje przyjęcie nowego ustroju, a później

ofiarnie dlań pracuje, druga — to lajdacy kierujący się tylko nadzieją łatwych zarobków, którzy ciągle — niezależnie od istniejącej sytuacji — prowadzą cienne machinacje. Stadiów pośrednich nie ma. A może lepiej: jest nie zdefiniowana jeszcze i nie zindywidualizowana masa chłopiska.

Bielawę objął czas przemian i skupił się wokół postaci wiejskiego chłopca, zwyczajnej, a zarazem wyjątkowej. Wprawdzie autor wspomni tu i ówdzie o wielkich wydarzeniach, jakie odbijają się echem i w Bielawie, a więc o referendum, wyborach, zjednoczeniu partii robotniczych, wspomni o powstałej gdzieś w pobliżu spółdzielni produkcyjnej, ale raczej peryferyjnie, na tyle tylko, na ile jest mu to potrzebne do wyraźnego usytuowania



Wilhelm Mach

bohaterów w czasie, do odmierzenia szybko upływających lat. Bo ciężar historii weźmie Bielawę na siebie ze sprawą Bolka Jawora i to będzie jej wielki egzamin.

A KCJA powieści ciągnie się przez górę lat dziesięć i nie zmienia nadanego jej na wstępie kierunku, przybierając może nieco na sile w miarę zbliżania się ku końcowi. Jest przeto mimo silnego nasycenia zdarzeniowością mało dramatyczna, tym bardziej że często rozprasza się, a ponadto przeciwstawność ludzkich dążeń, obecna w „Jaworowym domu”, nie jest należycie wyzyskana. Mach nie konstruuje, nie ujmuje swęj powieści w specjalne ramy, nie stwarza spleć i zawężeń, lecz prowadzi akcję naturalnym biegiem. A jednak nie brakuje scen o wysokim napięciu, pełnych ekspresji, jak znakomicie napsana scena śmierci Aldony Jaworowej. Tempa narracji — stale przyspieszone, jakby opowiadał ktoś, kto nadmiar widzianych czy zasłyszanych spraw zmieścić musi w krótkiej relacji, stąd „polykanie” niektórych scen jakby mimochodem. Ciągłe przyspieszenie sprawia miejscami wrażenie monotonii, wzmoczone w pewnym stopniu przez jednostajną tonację emocjonalną powieści, eliminację, a raczej głębokie ukrycie ludzkich uczuć i namietności; o narodzinach Bolka mówi się tak samo, jak później o śmierci jego matki, jakby zapisując po kronikar-

sku, beznamietnie, zwyczajne wydarzenia nie naruszające istniejącego porządku. Trzeba przyznać, że metoda ta daje w „Jaworowym domu” kapitalne i nieraz efektywne. Proza Macha jest rozważna, panująca nad uczuciami, nie pozwalająca im ujawniać się, maćci daleko posuniętej obiektywizacji obrazu epickiego. Jest dojrzała oszczędna, męska w traktowaniu bliskich sobie spraw, co spotkać u nas można nader rzadko. Pisarz pragnie wrzucić nie własnymi doznaniem i nie doznaniem swych bohaterów, lecz pokazaniem surowej, aż brutalnej prawdy o życiu — przekonany, że nie trzeba jej dodatkowych upiększeń, że w tej prostej postaci przemówi najsilniej. Swoją obecność w dziele maksymalnie uszczupla i snuje bezosobistą niby opowieść, w której liczą się nie emocje, lecz fakty.

Ta dbałość o fakty, to naczelna cecha zastosowanej w „Jaworowym domu” metody pisarskiej. Autor czujnie je notuje, ustala związki, jakie między nimi zachodzą, układa w logiczny ciąg, precyzyjnie dopasowuje do siebie, chce zmieścić w nich jak najwięcej treści. Ufa ekspresji zgromadzonych faktów; nie wspiera jej między innymi opisaniami ludzi i zdarzenia komentarzem i w tym osiąga swój cel: czytelnik nie waha się, jak osadzić postępowanie takiego np. Konstantego Jawora; jego czynny i ich skutki same to dostatecznie określają, czytelnikowi pozwalają tylko nazwać zdefiniowane już przez logikę powieściowych wydarzeń — zło. Tak więc wysiłek doborzenia i szeregowania ludzkich postępków opłacił się sówicie, bo w ich doborze i uszeregowaniu implícite zawarta jest przejrzysta ocena moralna.

PISARZ nie żałuje swęj powieści bohaterów, sypiąc ich pełną garścią; aż się roi „Jaworowy dom” wielością nazwisk, a każde z nich ma znaczyć życie odmienne od pozostałych. Swą wiedzę o nich świadomie ogranicza do pokazania ich w działaniu, które rzucił ma na nich pełne światło. Wglądu w ludzką psychikę — wierny obranej metodzie — starannie unika, traktując ją jak pociągający, lecz zakazany owoc, i skupia się na dokładnym wycienianiu tego, co dostrzegalne z zewnątrz. To, co bohaterowie przeżywają, co myślą i czują, nie leży w bezpośrednim zasięgu pisarskiego widzenia, lecz powinno wypłynąć z układu powieściowych wypadków, znajomość ludzkich czynów powinna stać się kluczem do poznania ludzkiego wnętrza. Czytelnik otrzymuje pewne elementy i na ich podstawie ma sobie resztę „dośpiewać”. Rzecz w tym, że ten czytelnicy śpiew brzmi niepewnie, rwie się, no a przebiegłe obliczenia autora — o ile tylko dobrze je zrozumiałem — po części biorą tym samym w łeb. Jeśli nawet myśle się i zastosowana metoda jest adekwatna wobec intencji pisarskich, to i tak lektura „Jaworowego domu” pozostawia pewien niedosyt, potrzebę dopełnienia tego, co się w powieści zawiera. Być może, jest to tylko malkontentowo ciekawskiego czytelnika, który zamaskował w dobrej prozie i pragnąłby znaleźć w niej bardziej pełny ogląd ludzkich spraw.

Oto z odczwań, zachowań, postępków Konstantego Jawora składa się misternie wystudiowana całość, której trudno odmówić i kon-

sekwencji i prawdopodobieństwa jej części wzajemnie się potwierdzają i wszystko wydaje się zapięte na ostatni guzik, ciekawskiego czytelnika intrzygują jednak motywy psychiczne, jakie leżą u ich dna, nadrzędna racja tego zbrodnicyżycia, która pozostaje niewiadomą. To prawda, można jej się domyślać, można nawet mieć pewność, że wygląda bardzo płasko, ale w sensie psychologicznym pozostaje zagadką. Obawiam się, że ostrość konfliktu moralno-społecznego została przez zewnętrzne tylko przedstawienie mimowolnie stępiona, bo Konstany w jej świetle jest typem patologicznym, pospolitym zbrodniarzem, który dla zysku, z zemsty lub ze strachu zgładzi niewygodnego współnika, stanie się pośrednio sprawcą śmierci swej żony, nie zawaha się targnąć na życie własnego dziecka i brata. Nienormalny wydaje się również Myroń, zdemonizowany w swej woli zła, umiejętnie podsycający zle skłonności Jawora, popychający go do zbrodni. Ale Mach nie lubi mówić wszystkiego o swych bohaterach, rzucza na nich często mgiełkę niedopowiedzeń i aluzji, wielu spraw nie tłumaczy wcale, inne odsłania po trochu, w kilku słowach, i ta wstrzemięliwość przeważnie wychodzi powieści na zdrowie.

Jest w „Jaworowym domu” kilka postaci, które niepokoją niezwykłością swych losów czy postępków, ale jest też spora gromadka takich, których dzieje potwierdzają tylko ogólną prawidłowość przebiegu procesów społecznych. Z krótkich, suchych informacji niewiele można dowiedzieć się, jaka kryje się w nich własna ich, osobista treść. Autor nie zaprzęta sobie zbytnio nimi głowy; istnieją w jego książce, są mu potrzebni, ale nie stanowią dlań problemu. Służą do konstatacji oczywistych stanów rzeczy i nie sąsiągają w tak pomysłanej powieści na więcej miejsca. W takiej oprawie może tym wyraźniej odcina się nieprawidłowość losu Bolka, nieudacie życia jego matki czy też zbrodni ojca.

„Jaworowy dom” przychodził w roku lata po „Rdzy”. Dwie te książki dzieli krańcowa odmiennosc założeń i metod twórczych; nowa powieść Macha to ogromny skok w rozwoju świadomości pisarza, w jego ideowo-artystycznym dojrzeniu. Jest wspólnym dziełem pisarza i krytyka, ich wzajemnej współpracy. Ale jest też w zastosowanej metodzie podobna, choć przeciwstawna jednostronność, nastawienie obiektywu na pewien tylko wycinek życia ludzkiego; o ile w „Rdzy” pokazana była przede wszystkim rzeczywistość wewnętrzna bohaterów, o tyle w „Jaworowym domu” dominuje spojrzenie z zewnątrz. Uznać to trzeba za ciekawy i udany eksperyment i życzyć autorowi wypracowania takiej metody, która pozwoliłaby chwycić świat w jego wielorakich przejawach, w całym jego bogactwie. Obie powieści dowodzą, że nie jest to życzenie bez podstaw.

Wilhelm Mach: „Jaworowy dom”, Czytelnik 1954 r. s. 316.

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

KRYTYK CZY MORALISTA?

Obserwując ruch wydawniczy lat ostatnich zauważyć można, że szczególną uwagę poświęca się u nas re-edycjom książek i pisarzy niesiuznie dotychczas pomijanych, nieledwieby dopuszczym milczeniu przez krytykę i historię literatury. Do nazwisk Dunin - Borkowskiego, Niemcewskiego i innych przypominanych w ten sposób przybyło ostatnio jeszcze jedno: krytyka literackiego i publicysty Bronisława Białobłockiego.

Życie i działalność Białobłockiego przypada na drugą połowę XIX wieku — lata po powstaniu styczniowym. Białobłocki borykał się nieustannie z chorobą i niedzą materialną, ulegając im w końcu (umarł mając lat 27) u progu niemal rozwijającej się działalności publicystycznej i krytycznej — literackiej. Niedługo po śmierci prace jego okrywa niepiamięć; jedynie Ludwik Krzywicki w niedużym szkicu oddał sprawiedliwość osobie autora.

Inicjatywę Krzywickiego podjął dopiero w ostatnich latach współpracownik Instytutu Badań Literackich, Samuel Sandler. Twórczość zapomniałego krytyka literackiego zainteresowała go głównie z tego względu, że Białobłocki jako jeden z pierwszych polskich publicystów kierował się w wytycznym światopoglądem marksistowskiego, będąc — jak to wykazuje Sandler — głęboko związany ideowo z „Proletaratem” i Ludwikiem Warzyńskim. Inspirowało to również Sandlera do przygotowania wyboru pism publicystycznych Białobłockiego i poprzedzenia go wyczerpującym wstępem historyczno-literackim.

Problematyka artykułów Białobłockiego przypominanych w omawianym wyborze dotyczy przede wszystkim zagadnień literackich, tak polskich jak i rosyjskich. Znajdujemy więc tutaj na przykład szkice krytyczne o twórczości Deotymy, Konopnickiej, Turgieniewa. W dużo mniejszej mierze zostały uwzględnione prace Białobłockiego z innych dziedzin, jak na przykład: ekonomii, estetyki, plastyki.

Wstęp Sandlera można uważać za studium nie tyle omawiające genezę opublikowanych obecnie na nowo prac Białobłockiego, ile systematyzujące zawarte w nich poglądy. Sandlera interesuje przede wszystkim Białobłocki jako prekursor polskiej myśli marksistowskiej w krytyce literackiej; dlatego też autor wstępu kładzie główny nacisk na uwytknienie nowatorstwa ideologicznego Białobłockiego i wyodrębnienie jego prac z nurtu współczesnej mu publicystyki pozytywistycznej. Słuszne w zasadzie stanowisko Sandlera doprowadziło jednak do pewnego zatarcia niewątpliwych związków łączących Białobłockiego z pozytywizmem polskim, a szczególnie z prasą i publicystyką tego okresu. Można by się również spierać o to, czy Białobłocki był rzeczywiście tak bardzo antyreligijnie nastawiony, jak tego chce Sandler — i czy wszystkich jego prac publicystycznych nie łączy oprócz materializmu historycznego jeszcze inny aspekt — mianowicie etyczny. Rozważmy te sprawy po kolei.

Nie ujmując nic z nowatorstwa ideologicznego dorobku literackiego Białobłockiego trzeba powiedzieć, że przynosi nas on bezpośrednio w

samo centrum sporów toczonych przez polską publicystykę w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Jest jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo szkiców Białobłockiego i kronik Prusa (z późniejszego okresu twórczości) — nie dotyczące oczywiście diametralnie różnych tematów w ramach publicystycznych obu autorów. Pokrewieństwo to wynika z bezpośredniego i całkowitego zaangażowania się Białobłockiego i Prusa w spory ideowe nurtujące współczesną im epokę — z bezkompromisowego opowiedzenia się po stronie klas upodlegzonych i wyzyskiwanych. Białobłocki podobnie jak Prus nie uważa żadnej ze spraw poruszanych w swojej publicystyce za mniej ważną od innych — podobnie jak Prus nie ogranicza się do ingerencji w jedną tylko sferę działalności i twórczości ludzkiej.

Podkreślanie antyreligijności publicystyki Białobłockiego czyni wrażenie zbyt mocno położonego akcentu. Niewątpliwie Białobłocki był człowiekiem niewierującym, ale odznaczał się również głęboko pojętą tolerancją wobec obcych mu ideowo, ale humanistycznych poglądów. Na str. 80 omawianej pracy możemy przeczytać takie zdanie wypowiedziane z okazji polemiki z jednym z pomniejszych estetyków pozytywistycznych, Massionuszem: „Wolność propagandy religijnej uważam za rzecz jak najpożyteczniejszą”. I rzeczywiście Białobłocki występuje głównie nie tyle przeciwko religii, ile przeciw nieuzasadnionemu mieszanu się jej do nauki, z czym — w niektórych wypadkach cytowanych przez autora „Szkiców” — możemy się dzisiaj zgodzić.

O ogólnej atmosferze pism Białobłockiego wyraźnie decyduje aspekt etyczny, a czasem nawet moralistyczny wybijający się na plan pierwszy w pracach publicystycznych tego autora. Bez przesady można powiedzieć, że każde poruszone zagadnienie sprowadza ostatecznie Białobłocki na grunt etyki społecznej, właściwego, lub — co najczęściej — niewłaściwego postępowania jednej klasy wobec drugiej, wyzyskującej wobec wyzyskiwanej. Ujęcie tych spraw interesuje też głównie Białobłockiego w literaturze polskiej i rosyjskiej i podbudza go do walki przeciw wstecznym jej przedstawicielom.

Nie należy zapominać, że Bronisław Białobłocki był początkującym krytykiem literackim, który swych możliwości nie zdołał w pełni rozwinąć i wykorzystać. Dlatego właśnie problematyka jego prac ogranicza się w dużej mierze do zagadnień nieco peryferyjnych, ujętych w surowy czasami kształt publicystyczny. Myślę, że pasowanie Białobłockiego na koryfeusza polskiej krytyki pozytywistycznej wyrażałoby mu większą krzywdę aniżeli przysłuży.

Niemniej dobrze się stało, że Samuel Sandler przypomniał dziełszemu czytelnikowi postać i twórczość Białobłockiego. Nie zwalnia to oczywiście historyków literatury od kontynuowania badań, a szczególnie poszukiwań bibliograficznych w stosunku do tego publicysty. Białobłocki zasługuje niewątpliwie na to, ażeby oddano mu dzisiaj sprawiedliwość.

Bronisław Białobłocki: Szkice społeczne i literackie. Wybrał i wstępem poprzedził Samuel Sandler, Warszawa 1954. Czytelnik, str. 234, 2 mb.

Barbara Eysymontt:

W I E R S Z E

PRZED WIOSNĄ

Gorzki smak papierosów,
Dym u okien się wiesza.
Samochód przemknął w szumie,
Gra muzyk niewidomy.
Myśli szybki pochód,
Jak nienadana depesza...
(Nadajesz smutek wiosenny
Telegrafisto szalony.)

Rozmowy jak drogi przebyte
Nie leżą już przed nami —
Nie trzeba nic przypominać,
Nie trzeba nic pamiętać.
Niewprawną ręką próbuję
Melodii zapomnianej.
Wiosno, wiosno — znów muszę
Twoich powrotów się lękać.

Pełnie lamp zmartwychwstały.
Deszcz jak szylwach uparty
Przemierza wciąż ulice
Tym samym, równym krokiem.
Wszystkie słowa i myśli
Depesze poplątały...
Jakże mi się cieszyć
Wiosno, twym powrotem?

A kiedy mnie zostawisz,
A kiedy mnie porzucisz,
Kaliny mnie pocieszę
I deszczu smuga wiotka.
Wiatr, najwierniejszy kompan
Zaspiewa starą piosnkę,
Zastuka, załomoce,
Uderzy we wszystkie okna...

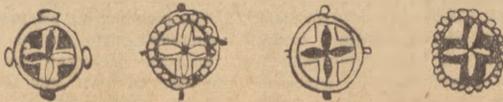
A kiedy się oddalisz,
A kiedy już nie wrócisz,
Nie będę po tobie plakać,
Nie będę się z tobą żegnać.
I tylko serce uparte —
Starych romansów uczeń
Nie będzie mogło uwierzyć,
Ze to naprawdę — nie jedną...

SPACER WIECZORNY

Księżyc pełen jest światła,
Noc zatopiona w liściach,
Po polu, dalekim, jak morze
Kolebie się światła przystań.

I w ciszy, która nadchodzi
I w chłodzie, który się zbliża
Dobrze jest non ognarzać,
Dobrze jest ziemię witać.

Chmy miękkie pływają w zmroku...
Skromnym kwiatem maciejki
Ogrody pachną i świerszcze
Znajdują nuty srebrniejsze...
Znajdują nuty srebrniejsze...



W STRONĘ ITALII

I.

NIECH wam się nie wydaje, że zdolacie uciec od historii, w której jesteście głęboko osadzeni, od społeczeństwa, z którym jesteście tak ściśle związani; niech wam się nie wydaje, że istotnie uda wam się stworzyć poezję czystą, która wyrażać będzie jedynie wasze prywatne namalowanie liryczne. W rzeczywistości twórczość waszą musicie do kogoś zwrócić, zależyć tylko — czy do ograniczonej grupy wtajemniczonych, czy do szerokiego mas ludowych, które oczekują, aby wyrazić ich zdania.

Słowa te, które Antonio Gramsci zamieścił w tomie refleksji więziennych „Literatura i życie narodowe” dotyczą nie tylko poezji czy literatury, ale całej sztuki włoskiej dziesięciolecia powojennego — literatury, teatru, filmu, malarstwa. Gramsci, sławny autor „Listów z więzienia”, zmarły w 1937 r. w szpitalu w Turynie, przewidywał, że najbliższy okres rozwoju kultury włoskiej dokonywać się będzie pod znakiem zasadniczego podziału twórców na nielicznych, którzy nadal zechcą wyrażać jedynie własne doznania wewnętrzne i tych, którzy poszukiwać będą artystycznego wyrazu dla wielkich procesów historycznych i społecznych współczesności. Włoska sztuka międzywojennego okresu nie nakładła na siebie społecznych obowiązków, jakie niedługo spełniali twórcy tej miary, co Manzoni czy Giovanni Verga. Subtelny, filozoficzny teatr i wyrażona prozą Pirandello, d'Annunzio, lekka, wytworna poezja Ungaretti'ego i Saby; religijny dramat zawarty w powieściach Papiniego; malarstwo Severiniego i Morandi'ego — cały ten artystycznie różnorodny i wyrafinowany Parnas uznosił się wysoko ponad ziemię włoską, na którą groźnym cieniem kładł się faszyzm i nędza milionowych mas. Wojna przyniosła przeciwnym zasadniczym i twórczym. Niemalże jeszcze do wtóru ostatnich strzałów filmowcy włoscy radzili nad powstaniem nowego filmu włoskiego, powstawała wielka szkoła neorealizmu, która niebawem podbiła cały świat.

Literatura wzbogaciła się o arcydzieła demaskatorskie zarówno w stosunku do faszyzmu, jak i zgubnego ustroju społeczno-gospodarczego; mam na myśli „Uliczkę ubogich kochanków” Prataliniego i „Chrystus zatrzymał się w Eboli” Carlo Levi. Alberto Moravia począł tworzyć swoją kronikę szarych ludzi, powstawała proza Cesare Pavese — owoc dramatycznych poszukiwań jej autora. Mediolńska grupa „Corrente” nadała charakter współczesnemu malarstwu, wydając awu największych przedstawicieli: Renato Guttuso i Ernesto Treccani, których palety odwracały się od „czystych” pejzaży i martwych natur, a zwróciły się do współczesnego „wydziedziczonego” człowieka,

2.

JEDEn z najwybitniejszych krytyków włoskich, Carlo Saltani, tak sformułował swój główny zarzut wobec aktualnej literatury włoskiej: „Bezsilność, niemożność stworzenia człowieka jest cechą charakterystyczną powojennej prozy włoskiej i objaw ten pogłębia się z roku na rok. Pod tym względem wszystkie prądy złączyły się, aby dać bilans

negatywny. Formaliści, intymiści, naturaliści i neorealiści nie ożywiłi powieści ani jedną postacią w pełni swej osobowości ludzkiej... Autor przeciwstawia współczesnym kreacjom — ludzi Boccaccia, Manzoni'ego, Vergi nawet Vittoriniego. U neorealistów, jak u Carlo Levi, czy u Prataliniego fakty i sprawy przesłaniają ludzi, u innych, jak u Pavese czy Moravia — przysławiają ludzi idee, wrażenia, objawy psychologiczne. Mimo zdecydowanej krańcowości poglądów Salinari'ego odzwierciedlają one pewien stan realny i istniejące tendencje. Cechą główną literatury włoskiej lat powojennych jest poszukiwanie idei, prawd wspólnych, łączących ludzi.

Niewątpliwym natchnieniem dla tej literatury były „Listy z więzienia” Gramsci'ego — wielkiego, świętego komunisty, który widział przed sobą i całym narodem jasną i prostą drogę. Ale dla innych pisarzy poszukiwanie owej „prawdy” i wspólnego języka z współczesnością było wielokrotnie tak dramatycznie, jak u Cesare Pavese, znakomitego pisarza szarpanego wątpliwościami i sprzecznościami własnej twórczości. Samobójstwo, które w 1950 r. zakończyło jego życie, było ostatnim tragicznym akordem tych zmagani. „Ludzie oczekują naszych słów — pisal — biedni ludzie jak i my, którzy zapominamy, że życie jest ustawiczną „komunią” — łączeniem się z innymi”. Cała jego twórczość jest nieustannym poszukiwaniem drugiego człowieka, szczerym protestem przeciw ludzkiej samotności, bynajmniej nie zimy i wyrachowanym, jak u egzystencjalistów francuskich.

Inny wielki włoski pisarz współczesny — Alberto Moravia — nie przeżywa tych problemów tak dramatycznie i nie należy do czolowiki walczących realizmu włoskiego. Indywidualista i moralista, obcy równie katolikom jak i komunistom, pisze historie szarych, prostych ludzi w swoich mistrzowskich „Opowiadaniach rzymskich”, lecz nie ukazują ich w ściślejszej łączności z tem społecznym, tak jak czyni to Carlo Levi czy Vasco Pratalini. Szczególnie ten ostatni, z którym najczęściej łączy się problem neorealizmu współczesnej literatury włoskiej, wydaje się powołany do stworzenia obszernego malowidła dzisiejszych Włoch. Spełnia te nadzieje pisząc wielką trylogię pod skromnym tytułem „Historia włoska”. Lecz niewątpliwie awangardę społecznego nurtu literatury włoskiej, dającej wyraz walce ludu i proletariatu o społeczne wyzwolenie tworzą pisarze w tzw. „średnim wieku” i młodzi. Do starszej generacji należą Carlo Cassola, świetny nowelista; do młodszej — Italo Calvino i Domenico Rea, również doskonale noweliści, czerpiący tematy z życia lecz przetwarzający je na prozę wysokiego gatunku.

3.

ZAGADNIENIE rzekomego kryzysu, jaki przechodzi włoski film neorealizmowy, od dawna zajmuje opinię publiczną Europy i wywołuje najbardziej sprzeczne zdania. Wyślanik „Les Lettres Françaises” zwrócił się w czasie swej włoskiej podróży do pewnego źródła, mianowicie do trzech największych filarów tego filmu: Vittorio De Sica, Giuseppe De Santis i Cesare Zavattini. „Film włoski w rzeczywistości nie przechodzi żadnego kry-

zysu — powiedział De Sica — raczej jest to tylko moment wyłchnienia, oczekiwania. Neorealizm jest jedynie punktem wyjścia, najważniejsze, aby iść naprzód, nie zrywając więzi z głównymi zasadami kierunku. Dokonaliśmy różnorodnych eksperymentów: z jednej strony „Cud w Mediolanie”, który usiłował połączyć neorealizm z fantastyką i poezją; „Stacja Termimi” gdzie starano się pogodzić styl amerykański z neorealizmem, Castellani w „Romeo i Julii” znalazł wspólny mianownik dla neorealizmu i klasyki szekspirowskiej... Wszyscy dokonujemy eksperymentów... Visconti na przykład, który jest jednym z najlepszych realizatorów, poszedł drogą estetyzmu i stworzył „piękną epokę”. „Neorealizm” — powiedział dalej De Sica — zaczął od analizy dramatu wojny („Rzym, miasto otwarte”, „Słońce wschodzi”), artyści zapalili się wspominając straszną niedawną przeszłość. Obecnie oddajemy się nowej idei: pokojowi...”

Czy istotnie film włoski starzeje się, wyczerpuje wewnętrznie, mierza ku zagładzie naturalnej? Bardzo trudno, w rzeczy samej, u wierzyć w jego słabość wewnętrzną obserwując, jak wielkie sily mobilizuje rząd, aby wreszcie zahamować rozwój tego filmu, jego siłę oddziaływania. Ofensywny organizuje się pod hasłem „Duszy filmu, który ukazuje nędzę Włoch!” Cenzura państwowa wtrąca się do szczegółowych nawet spraw artystycznych. W opracowaniu jest obecnie projekt nowego prawa dla wytwórni filmowych, który ma zapewnić czynnikiem oficjalnym większą kontrolę produkcji oskarżonej o sprzyjanie ideom komunistycznym. Filmowcy włoscy zżeszeni w Circolo Romano del Cinema starają się wspólnym wysiłkiem odeprzeć ataki cenzury państwowej i wydzierać jej ofiary, czasem filmy tak dobre, jak „Toto i Karolina”. W związku z tą stałą walką Cesare Zavattini sądzi, że należy zorganizować produkcję filmową na zupełnie innych zasadach, stworzyć rodzaj wielkiej kooperatywy zrzeszającej producentów oddanych sprawie filmu, zdolnych do poświęceń. „Zapewniam z największą mocą — powiedział w innym miejscu Zavattini — że film włoski jeszcze niewiele dokonał. Wielkość neorealizmu w ostatnim dziesięcioleciu — to dopiero rozpoczęcie dyskusji, prolog do wielkiego przedsięwzięcia. Chcę nam odebrać prawo wypowiedziania się chociaż nawet istotna część nie została wypowiedziana. Ci sami ludzie chcą, abyśmy zmienili nazwę ruchu, zamiast „neorealizm” — po prostu: „realizm”. Ale my wolimy tamtą nazwę, która tak bardzo złączyła się z początkami naszej pracy...” W nakreślonym obecnie filmie „Złoto Neapolu” De Sica powraca właśnie do tych początków, wiąże dzisiejszy etap rozwoju z tamtym. Będzie to znowu historia prostych ludzi, którzy na próżno poszukiwać będą „skarbów” na ulicach tego pięknego i opiewanego w ciągu wieków miasta. Wielcy twórcy „dwóch Rzymów” Rosellini („Rzym, miasto otwarte”) i De Santis („Rzym, godz. 11”) obecnie, w dziesięciolecie istnienia tej szkoły również myślą o stylu swych arcydzieł, aby później wyruszyć na poszukiwania nowych dróg.

Dzisiaj niepodobna już oderwać filmu włoskiego od całokształtu współczesnej kultury włoskiej: zrósł się z nią nierozdzielnie. Stanowi jej postępową awangardę, decyduje o jej wielkości ideowej i moralnej, a równocześnie wielkością swych osiągnięć artystycznych równoważy dotkliwe braki na innych odcinkach: słaby teatr (oprócz dwu jedynie zespołów: teatr San Ferdinando z Neapolu i „Piccolo

Teatro” z Mediolanu) oraz nieciekawą muzykę.

WŁOSKIE malarstwo przechodziło ewolucję bardzo zbliżoną do literatury. W okresie walk o zjednoczenie, Risorgimento, wielkich ruchów społecznych wydało malarzy realistów, należących do szkół prowincjonalnych, takich jak Toma, Fattori, Commerano. Malarze ci, wyrażali na swych płótnach idee, którymi żyło całe społeczeństwo XIX w. Powoli kierunek ten zamarił, nadszedł okres pustki. Włochy uczestniczyły w niewielkim stopniu w triumfalnym pochodzie impresjonizmu przez Europę, na półwyspie Apenińskim pozostawił on nie najlepsze nazwiska. Natomiast doskonale zaklimatyzował się futuryzm, głównie w pracowni znakomitego artysty kalabryjskiego Umberto Boccioni i zapuścił dość głęboko korzenie. Wydał cały legion malarzy drugo i trzeciorzędnych, najbardziej znanym ambasadorem futuryzmu włoskiego w Paryżu pozostanie z pewnością Severini. Inną szkołkę, tzw. sztuki abstrakcyjnej reprezentuje De Chirico. Mimo szerokiego programu filozoficznego i artystycznego, jaki artysta ów postawił przed sobą i swymi wyznawcami — o brazy jego zawieszone między rzeczywistością a snem nie wyrażają głębszych treści, urzekają jedynie swą poetyckością. Tosi i De Pisis powrócili do impresjonizmu, Carrà szukał natchnienia w monumentalizmie fresków Giotta, Giorgio Morandi znalazł jedyny i drobiazgowo opracowany temat: martwą naturę. Obrazy tych malarzy nie odzwierciedlają ani w części czasów, w jakich powstają, są obojętne, zimne, szkalarskie. W owym okresie poprzedzającym nadejście faszyzmu tylko dwa nazwiska wyróżniają się z tamtej grupy. Wspomnieć trzeba przede wszystkim o Sironi i de Rosai. Pierwszy odznacza się swą gwałtownością malarską, drugi tematyką. Toskańczyk, de Rosai, pozostał ułerny swej ziemi, przez całe życie malował jej pejzaże i rolników...

Alle nie o takim malarstwie myślano w okresie, gdy wszystkie zdrowe moralnie elementy społeczeństwa włoskiego łączyły się do walki z nadciągającym faszyzmem. Walka ta zrodziła właśnie nowe, ideowe malarstwo dzisiejsze. W Turynie, największym środowisku robotniczym powstała rewolucyjna grupa „Six” z Carlo Levi, świetnym malarzem i powieściopisarzem na czele. Najbardziej znanym jego dziełem malarskim pozostanie cykl obrazów o doli chłopskiej w Kalabrii, niejako ilustracja do dzieła literackiego „Chrystus zatrzymał się w Eboli”. Nową „szkołę rzymską” złożył malarz starszego pokolenia, lecz pełen młodzieńczego zapału, Mario Mafai. W Mediolanie powstała grupa „Corrente”, wyszedł z niej najbardziej czynny Renato Guttuso i Ernesto Treccani, obaj reprezentujący nurt zdecydowanie rewolucyjny. Różnią się jednak między sobą doбором środków wyrazu. Guttuso jest gwałtowny, dramatyczny, niejako „zaczepny” w zestroju barw, Treccani natomiast surowy, powściągliwy, opamnowany, reprezentuje inny klimat uczuciowy.

Obecnie nowe, młode malarstwo włoskie dostrzegło codzienne życie Włoch kosztem uroków słynnych pejzaży włoskich. Do tej generacji należy Renzo Vespiniani (ur. 1924), Giuseppe Zigaina, Ugo Attardi, Tono Zanacaro... Pod tym względem malarstwo zdaje się tworzyć wraz



Gina Lollobrigida i Vittorio De Sica w komedii „Chleb, miłość i fantazja”.

z filmem i literaturą front jednolity. Cechą charakterystyczną tego frontu jest jego młodość, zaangażowanie w walkę o postępowe ideały współczesnego świata. Dopiero przyszłość okaże jakie dzieła wyda okres dojrzałości młodej kultury współczesnych Włoch.

5.

Młodej kultury? Czy można mówić o młodej kulturze w kraju, który wydał Petrarke, Dantego, Boccaccio i Michała Anioła? Czy można ten, współczesny nam okres wyłączać z jej dziejów powszechnych? I to kultury, która przez dwa wieki zapładniała Europę twórczym fermentem dając jej nowożytną poezję, prozę i teatr? Dlatego używając określenia „młoda kultura włoska” trzeba uświadamiać sobie równocześnie, która jest to jej kolejna włoska... Że dają się zauważyć przejawy odróżnienia kultury włoskiej na nowych, ideowych podstawach — nie trzeba już dzisiaj wieść dyskusji. Wystarczy obserwować światowy sukces włoskiej literatury powojennej (głównie we Francji), filmu, malarstwa, które odbywa triumfalne tournée po galeriach Europy. Ale „odrodzenie” to bynajmniej nie otwiera jakiegś zupełnie nowej karty w dziejach kultury włoskiej. Osiągnięcia obecne tkwią głęboko w glebie epok minionych.

Neorealizm w filmie czerpał z pewnością natchnienie z typowo włoskiej szkoły literackiej, dziełtnastowiecznego weryzmu z Giovanni Verga na czele. Czytając dzisiaj utwory tego wielkiego realisty odnajdujemy ten sam klimat, postawę wobec rzeczywistości, zbliżoną do szkoły Zavattini'ego De Sica czy De Santisa. Do wielkich tradycji narodowych powraca teatr włoski, a przede wszystkim najwybitniejszy, o europejskim rozgłosie zespół San Ferdinando z Neapolu pod kierownictwem znakomitego aktora i reżysera Edoardo de Filippa, który wskrzesza na swej scenie typowo włoską postać ludową Puccinella (Poliszynela) i niektóre formy commedia dell'arte (choć

by w znanej sztuce Antonio Petito „La piccola colomba”).

Literatura swojego ojca duchowego odnalazła w Manzoni. Właśnie w Alessandro Manzoni, wydałoby się niemożliwym i niedziśnietym autorze „I promessi sposi” (Narzeczeni). Cóż może on mieć wspólnego z dzisiejszą, neorealizmowa prozą Prataliniego czy Cassoli? A oto co pisze świetny pisarz Alberto Moravia: „Manzoni jest autorem na wskroś współczesnym, który bardziej od innych obdarzony jest poczuciem faktów społecznych. Okazuje się pisarzem całkowicie nowoczesnym w opisach miast, ulic, sytuacji społecznych, całych społeczeństw i własnie Manzoni, nie kto inny, najwięcej dać może naszym dzisiejszym pisarzom”. Ołbrzymie dzieło Gramsci'ego jako teoretyka kultury, zawarte w „Notatkach więziennych” jest olbrzymią dyskusją z największym filozofem włoskim ostatnich dziesięcioleci Benedetto Croce i do niego wziętych z Ustyki nawiązując swoje rozważania.

W malarstwie również nie zamaryły dobre wzory klasyczne — jeżeli „Chłopcy z kopalni siarki” Renato Guttuso nawiązują do kierunków schyłkowych w malarstwie XX w. — o tyle znakomitą, monumentalną „Bitwą na moście admirałskim” słusznie porównywano do „Bitwy pod Anghiari” Leonarda da Vinci, doszukując się wpływu w ujęciu całości.

Dlatego obserwując niewątpliwą kryzys mieszczańską kulturę zachodnio-europejskiej, z tym większą radością znajdujemy w kulturze półwyspu Apenińskiego przejawy odrodzenia, będącego rezultatem zajęcia przez jej twórców społecznie postępowej pozycji. Wobec niebezpieczeństwa powrotu do faszyzmu, wobec groźby nowego karkizmu wojennego — sztuka ta staje się orężem sił pokoju i sprawiedliwości społecznej. Dzięki temu rozporządza olbrzymim kapitałem: głębokim zrozumieniem przez miliony ludzi swego kraju i całego świata, którym przyświecają te same co i jej ideały.

Zanim nastroją koncert
I ton najczystszy odkryją
Dobranoc, ziemio i światło,
Dobranoc, dróżko niczyja...

*

Białe księżyc cień wterzby
Rozrywa na wstęgi,
Pryska świąteczny w ciemnej trawie
Melodią zerwaną.

Idę — cieniom na przekór
I na przekór wiatrom
Najtrudniejszych myśli
Nadzieją tą samą

Odwróć ode mnie noce
Chmurne i odległe
Niech każda jasno świeci
Księżyc obrazem.
Przecież i ja, pasterz nieznan
Słów Twych wiernie strzegę,
Przecież i mnie trzeba poznać
Każdej sprawy wagę.

Gwiazd najjaśniejszych
Miłosierną przystań,
Spokojny zegar świąteczny
Dzwoniących na ciszę,
To wszystko, co najlepsze,
Wszystko, co najbliższe
Obróć w słowo potrzebne
O Boże, i ustal...



Renato Guttuso — artyści w kawiarni del Grappolo — od lewej do prawej: żona Carlo Levi, Carlo Levi, pies, E. Morante, Moravia (podparty) i Paolo Ricci.

WYSTAWA POSTĘPU

Na pierwszy rzut oka nie nadzwyczajnego: obok stoiska przemysłu maszynowego znajduje się stoisko ukazujące dorobek naszego hutnictwa, obok niego ekspozycje przemysłu spożywczego itd. itd. W każdym z tych stoisk maszyn, urządzenia techniczne... wreszcie plansze podające wielkość produkcji oraz opisujące usprawnienia i pomysły racjonalizatorskie, dzięki którym niejednokrotnie nastąpiła zasadnicza zmiana w produkcji, zmiana powodująca nie tylko przyspieszenie procesów wytwarzania, ale również zmniejszenie wysiłku fizycznego człowieka i polepszenie warunków jego pracy. I właśnie te plansze mają najgłębszą wymowę.

„Celem Krajowej Wystawy Wynalazczości i Postępu Technicznego we Wrocławiu — bo właśnie o niej chcę mówić — jest ukazanie osiągnięć w dziedzinie usprawnień technicznych i ruchu wynalazczości. Wystawa ma również za zadanie pomóc w upowszechnieniu olbrzymiego i bogatego materiału z zakresu racjonalizacji”.

Tak przynajmniej napisano w posępce. Mnie jednak wydaje się, że istnieje jeszcze inny, daleko ważniejszy, cel wystawy wrocławskiej. Jest nim ukazanie twórczej aktywności mas pracujących, która powoduje przyspieszenie dokonywającej się w naszym kraju rewolucji materialnej i kulturalnej.

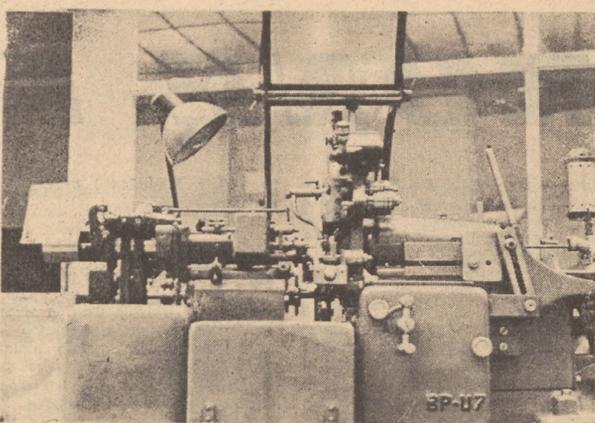
Dzisiaj robotnik rozumie, że — dzięki wzrostowi wydajności pracy — zwiększa się jego zarobek, a równocześnie zmniejsza się potrzeba do wykonania tej pracy wysiłek fi-

zyczny. Dlatego stara się on na każdym kroku usprawniać produkcję, mechanizować procesy wytwórcze tam, gdzie występują operacje najbardziej pracochłonne. Poza tym robotnik również dlatego tak chętnie zgłasza swoje projekty i propozycje, że po prostu odczuwa radość z uczestniczenia w budowaniu nowej rzeczywistości, z faktu, iż bezpośrednio przyczynia się do realizacji przemian społeczno-gospodarczych.

Na początku powiedziałem, że na pierwszy rzut oka wystawa nie wzbudza większego zainteresowania. Oczywiście miałem tu na myśli tych ludzi — sam zresztą do nich należę — którzy nie znają się na budowie i konstrukcji maszyn, i wykonywanych przez nie czynnościach.

A jednak wystarczyło bliższe obejrzenie kilku tych przeważnie stalowych tworów, poznanie ich działania i — co chyba najważniejsze — efekty ekonomiczne, jakie powstają w wyniku ich pracy, aby pobudzić moje zainteresowanie do tego stopnia, że np. przy kombajnie węglowym stałem blisko pół godziny oglądając go na wszystkie strony. A przecież na wystawie znajdują się aż pięć tysięcy eksponatów!

W dziale przemysłu maszynowego przy aparacie do metalizacji natryskowej — spora grupa ludzi. Wszyscy obserwują z wielkim zaciekawieniem działanie pistoletu gazowego natryskującego cząsteczkami metalu zużyty już zupełnie, zdawałoby się, karburator silnika. Przecież to takie proste — wykrzykuje nagle stojący obok mnie robotnik ze Stoczni



Dzięki rozwojowi przemysłu wytwarzającego urządzenia do obróbki metali już w roku przyszłym produkcja samochodów przewyższy liczbę tych pojazdów w Polsce w 1938 r., a liczba produkowanych motocykli wzrośnie do 32 tys.

Gdańskiej — butle z gazem, drut metalowy i... osiągamy tu — przerywa mu pracownik obsługujący aparat — że regenerujemy części, które dawniej szły na smętel. Na przykład ten karburator samochodowy będzie pracował nie krócej, niż dotychczas.

Stoczniovec gdański miał rację, że aparat do metalizacji natryskowej nie jest przyrządem zbyt skomplikowanym. Wiele zresztą pomysłów racjonalizatorskich w konstrukcji swej jest dość prostych. Są oczywiście i takie, których zastosowanie wymaga żmudnych badań, poszukiwań i prac laboratoryjnych. Ale — powtarzam — większość ulepszeń dokonana została po prostu dzięki jakiejś niewielkiej zmianie. Tak np. zastąpienie drewnianych skrzynek do wazy i owoców — wiklinowymi, zaoszczędzi wiele drewna i przyniesie około 2 miliony złotych oszczędności w stosunku rocznym.

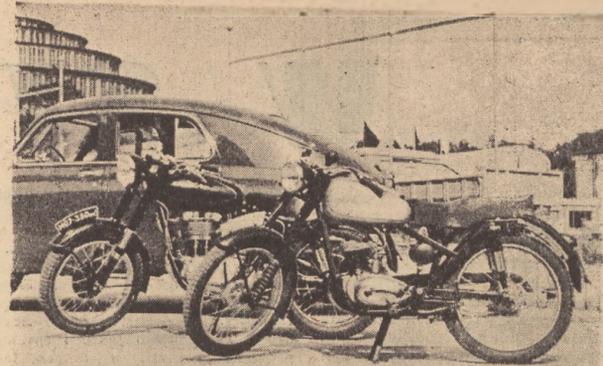
Na specjalnie wybetonowanym

podniesieniu znajdują się maszyny rolnicze. Zwraca uwagę pierwszy polski kombajn zbożowy, którego produkcja w roku 1956 ma osiągnąć 1500 sztuk. Widzę tu również wiele maszyn do sadzenia i zbioru, jak koparki do ziemniaków, sadzarkę, kosiarkę, wiazałkę, młocarnię: baza techniczna dla rolnictwa.

Tę część stoiska przemysłu maszynowego zwiedzam wraz z kilkusetosobową wycieczką chłopów z województwa krakowskiego. Żniwa już u nas skończone — mówi mi Jan Gajdzik, z którym rozpocząłem przypadkową pogawędkę — przychaliśmy więc zobaczyć tę wystawę.

— No i jak wam się podoba?

— Wiele tych maszyn już widziałem, ale najbardziej interesuje mnie ten kombajn. Sam kosi, młoci, odśiewa plewy. Pozostaje czyste zboże i słoma. Tylu ludzi wyręcza, prawie setkę. Kto by to dawniej pomyślał — kontynuuje mój rozmów-



ca — że takie maszyny będą pracować na roli.

„NOWE sklepienie pieca martenowskiego typu Zabza, projektu robotniczo-inżynierskiej brygady racjonalizatorskiej inż. Tachowicza zezwala na zwiększenie rocznej produkcji pieca o 2 600 ton stali” — czytamy na jednej z plansz. Pominęliśmy tu, przez ilość pieców martenowskich, a wówczas przekonałem się o ile ton cennej stali zwiększy swą produkcję nasze hutnictwo. A potrzeby na tym odcinku są niemałe. Przecież produkcja stali, stali, wyrobów walcowanych i metalów kolorowych stanowi podstawę dla dalszego rozwoju gospodarki narodowej. W okresie 1946 — 1953 wytop stali wzrósł 2,9 raza, rud cynkowo - ołowianych 3,2 raza, a wyrobów szamotowych 4 razy.

Wyniki te uzyskaliśmy dzięki renowacji i rekonstrukcji naszego hutnictwa, dzięki wprowadzeniu postępu technicznego i rozwijaniu wynalazczości. Obecnie jednak produk-

cja tych artykułów — w związku z potrzebami gospodarki — musi zwiększyć się jeszcze bardziej.

„Urządzenie do przelewania płynnego metalu, projektu inż. Walkowicza, zezwoliło na podniesienie zdolności produkcyjnej konwertorów o 200 proc.” — czytamy dalej. I pomyśleć, że nie jest to żadne odosobnione ulepszenie, dzięki któremu produkcja może się zwiększyć aż dwukrotnie.

W dziale Budownictwa Miast i Osiedli ponownie spotykam Gajdzik. Przed nami domek jednorodzinny, składany z 35 prefabrykowanych elementów. Domek składa się z pięciu izb z nowoczesnym wyposażeniem. Montaż trwa zaledwie cztery dni, koszt zaś prefabrykowanych elementów wynosi: tylko 18 tys. złotych. Gajdzikowi bardzo podoba się ta — jak mówi — chata. Chciałby w niej kiedyś zamieszkać. Jakby człowiek oszczędził — zwraca się do mnie — to po niedługim czasie można by sobie kupić, tym bardziej, że na raty. Idziemy dalej. Oglądamy koparkę, pojemniki i transportery. Zastosowanie koparek pozwoliło na skierowanie wielu ludzi do innych prac. Przedwojenny kopacz przekształcił się w operatora koparki. Kolarzy zastąpiły pojemniki do zapraw i cegieł, żurawie i transportery.

— Jaka to duża ulga dla ludzi — mówi Gajdzik. A po chwili dodaje: „te koparki i transportery to przecież i dawniej można było produkować, ale kto się wtedy troszczył o robotnika”...

Dział Przemysłu Drobego i Rzemiosła zawiera eksponaty artykułów, których produkcja odbywa się w zasadzie w warunkach mniej skomplikowanych pod względem technologicznym. Między innymi są tu przedmioty przeznaczone dla użytku wsi, jak automatyczne podłogi dla krów oraz elektryczne ogrodzenia pastwisk itd. Dzięki temu ostatniemu urządzeniu było może paść się bez dozoru. Działanie prądu powoduje, że następująca na przewód sztuka cofa się z powrotem. Największe jednak zainteresowanie budzi we mnie skonstruowana przez robotników — racjonalizatorów maszyna dziewiarska obsługiwana przez ociemniałych. Widziałem pracę inwalidów na tej maszynie. Funkcjonowała sprawnie, działała tak jak gdyby poruszały ją ręce zwykłego tkacza.

Aby dojść do stoiska Leśnictwa przechodzę jeszcze raz przez teren przemysłu maszynowego. Pracuje tu szybkoobrotowa tokarka polskiej konstrukcji TPS 400, twór pracy racjonalizatorów inżynierów i robotników. Józef Urbański tokarz - koleśowiec z Pomorskich Zakładów Wytwórczych Aparatury Niskiego Napięcia demonstruje działanie maszyny. Maszyna toczy z precyzją do setnych ułamków milimetra. Skręcone wiórki opadają wokół obrabianej części. Tokarka pracuje nożem Kolesowa. Dzięki temu Urbański wyrabia przy niektórych detalach 3.000 proc. normy.

W dziale Leśnictwa oglądam ciągniki służące do zmechanizowanego załadunku i wylądunku drzew. Czynności tych dokonuje specjalny przyrząd przy pomocy zaledwie jednego pracownika, który nim kieruje. Zwiadam jeszcze dział Przemysłu Rolnego, Budownictwa Przemysłowego, Żegluga.

Wszędzie widome znaki postępu technicznego, dzięki któremu pracownika staje się łatwiejsza, przynosi większe korzyści materialne.

25 MICHAŁ BANACH

SZLI ŚWIĘCI PRZEZ POLSKĘ

— Zyciorysy świętych i błogosławionych polskich — Dwubarne ilustracje w tekście Okładka graficzna. Str. 112. Cena zł 15.

JAN STANISŁAWSKI

DWA KALENDARZE

KIEDY rozmawiałem z jednym ze śląskich starych działaczy narodowych o nowych wydaniach kalendarzy, ten ci powiedział lapidarnie: „kalendarz to ludowa sprawa”. Słuszne to stwierdzenie musi leżeć u podstaw wszystkich prób oceny, jakiej należy poddać dwie ostatnie pozycje wydawnicze Paxu: „Śląski kalendarz katolicki” oraz „Kalendarz dla Warmii i Mazur”.

Kalendarze śląskie i warmijsko-mazurskie mają już swoją, stuletnią przeszłość historyczną. Dzieje tych kalendarzy wiążą się ściśle z dziejami walk ludu polskiego o prawo do polskości. Nie wdając się we wszechstronną analizę kalendarzy dawnych, ten punkt właśnie podkreślić trzeba z całą mocą. To, że lud polski Opolszczyzny, Warmii i Mazur w ciągu wielowiekowej niewoli nie utracił swej polskości, w dużej mierze przypisać trzeba również i kalendarzom.

Tradycyjnie kalendarze miały charakter religijny, co zresztą było jednym z elementów skuteczności ich oddziaływania w dziedzinie uświadamiania narodowego. Zarówno katolicki Śląsk i Warmię, jak i ewangelickie w większości Mazury cechowała głęboka religijność ludu, który pragnął słowa Bożego wypowiedzianego i drukowanego w ojczystym języku. Na Warmii i na Śląsku zwłaszcza ludność tak mocno występowała w obronie języka polskiego w kościele, że liczyć się z tym poważnie musiał nawet kardynał Bertram, cierniowy i przebiegły wróg polskości. Na Mazurach w obronie języka polskiego w zborze powstał i rozwijał się ruch gromadkarski będący w ostrej opozycji wobec oficjalnego pruskiego kościoła ewangelickiego, próbującego Mazurów germanizować. Polskość więc pośrednio służyła wszystkim kancjanom i modlitewnikom, cała literatura religijna polska obydwu wzniosła. Ale rola kalendarza jako krzewiciela polskości była powiększona innymi jeszcze momentami.

Spśród tych wszystkich innych momentów najważniejszy był klimat swojskości, który przebił z każdej niemal strony dawnego kalendarza. Swojskość ta nie stała w żadnej spiczności z wyraznym niekiedy wyjęciem poza wąskie granice regionalizmu na szersze wody wiedzy o narodzie. Przeciwnie — świadomy rzeczy redaktor kalendarza klimat tej swojskości potrafił rozciągnąć również na sprawy i ludzi bardzo od czytelnika terytorialnie odległe. W ten sposób kalendarz nie tylko utrzymywał polskość, ale wpływał dodatnio na jej rozwój.

Przystępując do przeglądu ostatnio wydanych kalendarzy zdajmy sobie sprawę z zadań, jakie ma do spełnienia kalendarz religijny wydawany w dziesiątym roku istnienia Polski Ludowej. Zadaniem kalendarza taki winien reprezentować tendencje społecznie postępowe i propagować rolę Kościoła w świecie budującego się socjalizmu, zaspokajając jednocześnie



Krajobraz mazurski

zapotrzebowanie odbiorcy na popularne czytanki religijne. Zadanie umacniania polskości wśród ludu podanego przez wiele lat brutalnej polityce germanizacyjnej jest w pewnej mierze jeszcze aktualne, ponieważ na ziemiach autochtonicznych pozostała pewna część ludności potencjalnie niewątpliwie polska, która w warunkach zaboru nie zdołała sobie w pełni swej polskości uświadomić, oraz ponieważ istnieje i działają w Niemczech zachodnich ośrodki rewizjonistycznej propagandy, które tę część ludności chcą pozyskać dla siebie. I wreszcie ostatnim zadaniem kalendarza, ściśle związanym z poprzednim, jest przedstawianie i propagowanie zmian, jakie w ciągu upływającego dziesięciolecia w Polsce się dokonały i perspektywy, jakie zmiany te ze sobą niosą.

Jak więc omawiane Kalendarze spełniają swe zadania? Zaczniemy od problemu pierwszego, o pytania, czy odpowiadają one zamówieniu czytelnika? O kalendarz warmijsko - mazurski powiedzcie się, tego nie da, trzy bowiem zamieszczone artykuły: „Rozwój stosunków między Kościołem a państwem w Polsce Ludowej”, „Religia a społeczne formy gospodarki” i „Rok kościelny” — mają charakter zbyt „encyklopedyczny”.

Bez porównania lepszy jest pod tym względem kalendarz śląski, na uznaniu zwłaszcza zasługuje myśl umieszczenia szeregu artykułów z dziedziny śląskiej hagiografii. Natomiast w obydwu kalendarzach można było i należało szerzej potraktować tezy i dążenia ruchu społecznie postępowego katolików polskich. Pod jednym jeszcze względem kalendarze śląski i warmijsko-mazurski nie różnią się od siebie, mianowicie pod względem zawartości ma-

teriału historycznych udowadniającej polskości tych ziem i przekazyjących pamięć walki o nią. Ten problem potraktowany został wystarczająco.

Zastąpienie budzą z kolei te partie kalendarzy, które poświęcone są dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Nieuzasadniona byłaby pretensja o nieuwzględnienie takiej czy innej sprawy z dziedziny życia gospodarczego lub społecznego. Dążąc do objęcia i przedstawienia całego naszego bieżącego życia kalendarz przestałby być kalendarzem, a stałby się encyklopedią. Toteż kwestionować należy samą koncepcję redakcyjną, a może brak koncepcji i metodę przekonywania czytelnika o wszechstronnym rozwoju Polski Ludowej. Ukazywanie tego rozwoju jest na Ziemiach Odzyskanych tym konieczniejsze, że rewizjonistyczna radio- wa, listowna i szepciana propaganda wykorzystuje każde nasze, najdrobniejsze potknięcie czy niedociągnięcie (w dziedzinie gospodarczej zwłaszcza) dla siania dywersji. Ukazywanie tego rozwoju jest na Ziemiach Odzyskanych tym konieczniejsze, że rewizjonistyczna radio- wa, listowna i szepciana propaganda wykorzystuje każde nasze, najdrobniejsze potknięcie czy niedociągnięcie (w dziedzinie gospodarczej zwłaszcza) dla siania dywersji. Ukazywanie tego rozwoju jest na Ziemiach Odzyskanych tym konieczniejsze, że rewizjonistyczna radio- wa, listowna i szepciana propaganda wykorzystuje każde nasze, najdrobniejsze potknięcie czy niedociągnięcie (w dziedzinie gospodarczej zwłaszcza) dla siania dywersji.

Kogo z czytelników kalendarza zainteresuje sucha tabela, pasjonująca tylko ludzi przyzwyczajonych do lektury gospodarczej, „Przebudowa gospodarcza Polski”, informująca o „przekształceniu z (sic) kraju

rolniczego w kraj przemysłowo-rolniczy”? Na krótko przed przystąpieniem do opracowania tego artykułu byłem w Opolu i zająłem do opolskich „Delikatessów”. Doznałem zdziwienia, gdy stwierdziłem, że przeważającą część kupujących stanowią Ślązacy z warstw ludowych. Wiele rozmów, jakie po tym spostrzeżeniu przeprowadziłem z miejscowymi działaczami, przekonało mnie, że poziom życiowy ludności Opolszczyzny ulega stalemu polepszeniu, ujawniło mi mechanizm tej poprawy, sprowadzający się do olbrzymiego popytu na pracę. Myślę, że to właśnie była droga do ukazania czytelnikom kalendarza znaczenia i perspektywy przemian ustrojowych, tak jak mnie je ukazał jeden opolski cieśla, który przy mnie przyniósł, że zarabia do 3-4 tysięcy miesięcznie. W jednym z artykułów, mianowicie w artykule „Rozmowa o córce”, która ma dziesięć lat” próbowano ująć zagadnienie rozbudowy od strony osobistej, ale nie uchroniono się przy tym przed zbędnym sentymentalizmem i w dodatku popelniono poważny błąd psychologiczny, błąd przemawiania do ludzi bardzo dojrzałych tonem protekcjonalnym i mentorskim. Ale mówiąc o tym dziale należy silnie podkreślić, że kalendarz warmijsko - mazurski jest bez porównania pod tym względem lepszy, niemieli on bowiem szeregu artykułów wyraźnie regionalnych: „Wczoraj i dziś na Warmii i Mazurach”, „Bogactwa naturalne ziemi mazurskiej i perspektywy dalszego ich wykorzystania”, „Tak było wczoraj”, „W Nidzie powstaje fabryka”, „Rolnictwo na ziemi warmijsko - mazurskiej”. Takich samych, mutatis mutandis artykułów w kalendarzu śląskim nie znajdujemy.

Skoro mowa o sprawach regional-

nych, warto również porównać obydwie kalendarze pod względem tej „swojskości”, o której wspominałem. I tu znów kalendarz warmijsko - mazurski jest lepszy od śląskiego. Przede wszystkim spełnia on tradycyjne zadania kalendarzy publikowania twórczości regionalnej. W kalendarzu warmijsko - mazurskim jest Malewska, Lengowski, Ruczyński, Śliwa i ploczanin Piekut. W kalendarzu śląskim zabrakło Kani i Teresy Odrzańskiej, a o ile mi wiadomo, nie powieśli oni na kolku swej poetyckiej liry. Jeśli jednak ten zarzut wyda się komuś nieuzasadniony (wobec zamieszczenia Bednorza i Jaromia), to każdy przynajmniej, że pod względem graficznym kalendarz śląski nie tylko postuluje „swojskość” nie spełnia, ale nawet przeciw niemu się buntuje. Ostatecznie możemy się umówić, że okładka i ozdobniki będą neutralne i pozbawione elementów regionalnych (taka jest właśnie okładka kalendarza śląskiego, bardzo udana graficznie), ale nie możemy stosować elementów wręcz obcych. Jeśli szwabacha w kalendarium kalendarza warmijsko-mazurskiego była uzasadniona i nawet pożądana, to mechaniczne jej przeniesienie do kalendarza śląskiego było poważnym błędem, a nawet powodem urazy czytelników. Z punktu widzenia tej właśnie swojskości kalendarz warmijsko - mazurski jest pod względem graficznym konsekwentny (okładka, ozdobniki, szwabacha) i bez porównania lepszy.

A jak przedstawia się sprawa ukazywania czytelnikom autochtonom kultury ogólnonarodowej? Znajdujemy w kalendarzach Kopnicka, Sienkiewicza i Prusa (tylko w kalendarzu warmijsko - mazurskim), że współczesnych autorów Gólbiewa i Dobrzańskiego, artykuł i garść anegdot o Chopinie. To mało, to stanowczo za mało. Jeśli nie można było objętości kalendarzy powiększyć, to dział ten należało wzbogacić choćby kosztem materiału historycznego, który w porównaniu z literaturą odgrywa zawsze mniejszą rolę w rozwijaniu uczuć patriotycznych, posiada mniejsze możliwości oddziaływania emocjonalnego. Dziwi umieszczenie materiału szopenowskiego, Chopin jest olbrzymim autem polskości, ale wtedy gdy jest... słuchany. W dodatku anegdoty o Chopinie są zbyt elitarne. Sądzę, że lepiej było umieścić nieco poezji, której dobór w kalendarzu przybiera charakter szokujujący. Są poeci regionalni, nie ma Mickiewicza, Słowackiego, Kochanowskiego.

Może zbyt dużo miejsca poświęcił krytyce — nie starczy miejsca na wylizanie zalet kalendarzy. Ale krytyka taka jest o tyle uzasadniona, że kalendarz nie jest osiągnięciem jednorodzinnym. Prace nad kalendarzem na rok 1955 są daleko posunięte, a tylko dokładna analiza osiągnięć może uchronić przed powtórzeniem błędów. A obydwie kalendarze mają i zalety, pomijając już „zaletę” podstawową, że w ogóle są.

*) „Śląski kalendarz katolicki”. Wyd. Pax, Warszawa 1954, str. 333. „Kalendarz dla Warmii i Mazur”. Wyd. Pax, Warszawa 1954, str. 320.

Z LUDOWOŚCIĄ NA BAKIER

Dwa nowe polskie balety stoją pod znakiem ludowości, w obu niepokojąco umownie. Ten konwencjonalny, mocno już sfatygowany sposób traktowania tańca ludowego na scenie musi pociągać za sobą ujemne skutki dla całości dzieła baletowego. Skutki te są zresztą zgoła różne dla każdego z nowych dzieł, w zależności od stopnia, w jakim zaangażowany jest taniec ludowy w akcję dramatyczną.

Ma on zasadnicze znaczenie w ludowym obrazku „Zabawa w Lipinach”. Intencją twórców było stworzenie atmosfery współczesnego festynu wiejskiego, w którym umieszcili niefortunny incydent z zepsutym traktorem, naprawionym nieoczekiwanie przez „nawróconych” bikiarzy z pobliskiego miasteczka (nie bardzo zresztą wiadomo dlaczego tak nagle „nawróconych“?). Głównym środkiem wyrazu, poza epizodyczną, trafną parodią tańca bikiarzy — jest więc taniec ludo-

wości” w międzywojennym tzw. „tańcu wyrazistym”, nadmiar gestykulacji rąk i w ogóle niespokojnego ruchu (znów dyktowane wymaganiami partytury) — nie stwarzają jasnego obrazu roztaczającej wsi polskiej w jej prawdziwym charakterze. Zapachniało tu reminiscencjami z „Roztańczonej Baby” czy wskrzeszonego z martwych Maćka Parnelowskiego z okresu najświetniejszego rozkwitu tego znakomitego tancerza. To jednak, co było nowością 30 lat temu, co stanowiło na ile jałowej stylizacji baletowej pewien postęp w rozwoju naszej choreografii — dziś już traci znaczenie, staje się rażące w obliczu zmian, zachodzących szybko w życiu i w sztuce.

„Zabawa w Lipinach” nie została przez twórców świadomie umieszczona w żadnym, ściśle określonym regionie Polski, zakładając oparcie zarówno sytuacyjne, jak i choreograficzne na pewnych typo-

wej, której renesans w dziedzinie wykonawstwa zapowiadały sukcesy poznańskiego „Jeziora Łabędziego” i warszawskiego „Romeo i Julia”. Oby ten renesans objął jak najrychlej również i nową twórczość baletową!

*

O ile folklor stanowił „Zabawę w Lipinach” — to w następnym baletie prapremierowego wieczoru „Z chłopów król”, mimo mniejszego ilościowo zastosowania elementów folklorystycznych — elementy te mają do spełnienia bardzo poważne zadanie. Występują tu bowiem jako charakterystyka określonego środowiska społecznego, jako kontrastowe przeciwstawienie ludu środowiska arystokracji, mają obwieścić triumf zdrowego, chłopieckiego rozsądku nad bezmyślną pustotą dworu. Niestety, ta ostrość widzenia dwóch antagonistycznych klasowo-

choreografii, podporządkowana wymaganom techniki i układów baletowych, zaniedbana naleciałościami salonowej interpretacji tańców narodowych — przetrwała na naszych scenach jako tzw. „taniec charakterystyczny”. Wyjście zaś z tego zaczarowanego koła odwiecznych „pas chassés”, „pas marchés” itp. możliwe jest poprzez głębszą analizę naszego niezmiernie bogatego tańca ludowego, przez wykrzestanie form regionalnych, przez zbadanie dawnych form rozwojowych, które miałyby zastosowanie w realistycznych baletach historycznych. W opublikowanym w Nr 11-12 miesięcznika „Teatr” z r. 1951 libretcie baletu „Z chłopów król” autor pisze: „cenne odkrycia „Mazowsza” zadczywały tu o miejsce akcji” (okolicie Opoczna — przyp. aut.). Szkoda więc wielka, że w poznańskiej inscenizacji nie widać śladów cennych odkryć „Mazowsza”.

Centralną postacią baletu jest wiejski chłopiec imieniem Kazik, kaprysem dworskich kawalerów przemieniony w ich chwilowego władcę. Postać ta i jej reakcje na niezwykle przygodę stanowią oś całej zgręcznie skonstruowanej intrygi (według komedii siedemnastowiecznej Piotra Baryki „Z chłopów król”). W możliwościach wyrazowych naszego tańca ludowego leżało stworzenie jego środków mocnych, jasno zarysowanej postaci chłopca, który po pierwszym oszołomieniu niespodziewaną sytuacją reaguje bardzo dowcipnie: na żart odpowiada równie dotkliwym żartem, wciąga dworskie towarzystwo w wir mazur, „zatanowiąc” je do utraty sił i przytomności. Jednak niepełnie czytelnie rozwinięła się ta scena kulminacyjna w inscenizacji poznańskiej. Koncepcja postaci Kazika nadzbyt poszła po linii grotesku, jako również niefortunnej tradycji traktowania postaci ludowych.

*

Problem tańca ludowego w praktyce operowo-baletowej nie ogranicza się do ostatniej premii, do jednego teatru, do działalności jednego choreografa. Jest to wielkie, skomplikowane zadanie, którego realizację już rozpoczęto od rewizji i rozszerzenia programu nauczania tańca ludowego w Państwowych Szkołach Baletowych. Szeroko rozgąsiany ruch amatorów, rozpowszechnianie przezeń tańców regionalnych, badania naukowe sekcji folkloru PIS — wpłyną niewątpliwie na niezbędne zreformowanie tej dyscypliny tanecznej. Wówczas stawić będziemy coraz większe wymagania naszym teatrom w zakresie artystycznego przetworzenia folkloru. Sygnalizując dziś w związku z nowymi polskimi widowiskami dotychczasowe braki i zaniedbania, czynimy to nie dla samej krytyki, lecz w nadziei przyspieszenia procesu rewizji dotychczasowej koncepcji tańca ludowego na scenie.

Sam zaś fakt zwrotu naszych twórców, kompozytorów i libretów do polskiej tematyki współczesnej i obyczajowo-historycznej, zapoczątkowanej zabytków literatury pięknej — budzi również nadzieję na rychłe wyjście z impasu polskiej twórczości baletowej.

„Zabawa w Lipinach” — balet w 1 obrazie. Muzyka Zygmunta Mycielskiego. Libretto Jarosława Iwaszkiewicza, choreografia Stanisław Miszczyk, dekoracje i kostiumy Stanisław Jarocki, kierownictwo muzyczne prof. Walerian Bierdajew.

„Z chłopów król” — balet w 3 obrazach. Muzyka: Grzegorz Bacewiczówna, libretto: Artur Maria Świrski, choreografia: Stanisław Miszczyk, scenografia: Stanisław Jarocki, kierownictwo muzyczne: prof. Walerian Bierdajew.

Prapremiera 25.VII.1954 r. Państwowa Opera im. St. Moniuszki w Poznaniu.

„Dobre dzieje” (przekład ten w osobnym wydaniu ukazał się po raz pierwszy wkrótce po śmierci Tuwima) oraz wiersze. Tom trzeci zawiera tłumaczenia z Gribojedowa, Gogola, Leskowa i Korolenki — dramat, opowiadanie, powieść. — Antologia kosztuje 40 zł; niedrogo, ale szkoda, że nie można kupować poszczególnych tomów — podobnie, jak na przykład skalkulowano wybór dzieł Gorkiego lub ukazują się serie Tolstojowskie. Chociaż więc tym razem niedrozwonne jest tłumaczenie trzech tomów „Z rosyjskiego” jako całość, to czy przy następnych wydaniach nie dążyć do wydrukowania większego nakładu samego tomu pierwszego, który by wtedy wolno nabywać osobno?

Godne odnotowania jest też ukazanie się „De perfecta poesi” Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. „O poezji doskonałej” — pierwsza polska poetyka, dotychczas znana wyłącznie z rękopisów Biblioteki Czartoryskich, więc praktycznie dostępna nielicznym naukowcom — wyszła w serii „Biblioteki Piętaszów Polskich” nakładem Ossolineum. Na razie otrzymaliśmy jeden tom traktujący o epice; następny — poświęcony liryce — ma się również ukazać. Krytyczne wydania tekstów łacińskiego i polskiego opracował Stanisław Skimina, polskiego przekładu dokonał Marian Plezia.

Pojawiła się nowa książka stosunkowo rzadko dającej znać o sobie „Biblioteki Meandra”. Swetoniusza „Żywoty Cezarów”. Polski czytelnik zyskał szanse poznać twórcę i najwybitniejszego przedstawiciela rzymskiej biografii; zyciorys dwunastu cesarzy — od Cezara do Domicjana (m. in. Juliusza, Augusta, Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza, Nerona, Wespazjana) — obfitują w szczegóły, do których wolno mieć zaufanie, bo chociaż autor nie zawsze stał na krytycyzm wobec opisywanych faktów — relacje jego są zawsze obiektywne. — „Żywoty” przełożyła Janina Pilszczyńska, wstęp do nich napisała Hanna Szelest.



Scena z baletu „Zabawa w Lipinach”

wy. Tymczasem, mimo współczesności tematyki, choreografia nosi cechy przeżytego, banalnego pseudo-folkloru, który już dawno powinien zniknąć z naszego teatru, ustępując miejsca nowym, odkrywczym środkom wyrazu, zbudowanym na rzetelnie przestudiowanych elementach bogatego tańca ludowego. Jak długo jeszcze będziemy wypowiadać nowe treści nowego życia starymi, przepuszczonymi przez zużyty filtr stylizacji baletowej, szablonowymi krokami i gestami? Pomieszczenie wszystkich elementów z naszych najpopularniejszych tańców narodowych (mazura, oberka, krakowiaka, kujawiaka), poszarpanych na kikutaktowe okresy, zgodnie z ustawiczną zmianą rytmów i temp w muzyce, wprowadzenie obcych naleciałości stylistycznych (np. uchylenie stopy z opuszczenia pięty i sierzaciami do góry palcami, niezbędny atrybut nieokreślonej „ludo-

wych elementach występujących w całym kraju. A szkoda! Stało się to bowiem z krzywdą dla baletu, pozabawiając go możności wykorzystania zarówno w muzyce, jak i w choreografii bogactwa folkloru regionalnego. Nie przynosząc nowego spojrzenia na taniec ludowy jako środek wyrazu dramatycznego, będąc swego rodzaju współczesnym „divertissement” baletowym na tle pretekstu literackiego — nie wzbogaciła również „Zabawa w Lipinach” naszego dorobku baletowego przykładem stylizacji tańca regionalnego, pozostającą jeszcze wciąż w zapomnieniu. Jedyny nasz balet regionalny — to, jak dotychczas „Harnasie”. Czas najwyższy pomyśleć o nowych.

Szkoda, że pierwsza polska pozycja baletowa o tematyce współczesnej zawiadła nadzieje i nie stała się nowym krokiem naprzód na drodze postępu naszej sztuki baletowej.

światów, zaciera się przez konwencję pseudo-ludowości, która pozostaje poza czasem i przestrzenią, jest tak samo nieokreślona bliżej w stylu (poza opocznymi strojami), jak w pierwszym baletcie, mimo, iż akcje ich toczą się w innych zupełnie okresach historycznych. Czyż tańce ludowe w epoce Stanisławowskiej nie różniły się niczym od dzisiejszych? Oweśni włoscy i francuscy baletmistrzowie nadworni nie krzyżowali z nich dla potrzeb sceny, gdy zaś sporadycznie pojawiały się w różnych balecicach dworskich i ślankach pasterskich, nosiły wszystkie cechy umowne, obecnej duchem stylizacji. Przez cały jeszcze XIX wiek stylizacja folkloru polegała na powierzchniowym przejmowaniu rytmów, kroków i strojów ludowych bez głębszego wnicania w prawdziwy charakter i treść wewnętrzną, włożoną w swój taniec przez lud. Cała ta spuścizna pseudo-ludowej

AKTUALIA KSIĘGARNIANE

Bardzo interesująco przedstawia się w ostatnich czasach polityka naszych wydawnictw, jeśli chodzi o przekłady. Zaspokojenie najbliższych potrzeb czytelników, udostępnienie polskiemu odbiorcy pokaznej ilości dzieł tak zwanej klasyki piśmiennictwa obcego — rezultat wyteżonej pracy przez lat niepełną dziesięć — pozwala obecnie na edycję wyższego kręgu kulturowego. Już przestaje wystarczać je dno o tłumaczenie — wznowiane czy dokonywane po raz pierwszy; stać nas, by pojawiały się coraz to nowe wersje polskie tych samych arcydzieł literatu-

ry światowej, lub zaczyna się poszukiwanie nowych form popularyzacji i porównywaną przekładów różnego autorstwa.

Niedawno ujrzelśmy (na krótko, bo nakłady nieliczne bibliofilskie) dwie książki Szekspira: „Hamleta” i „Romeo i Julia” tłumaczone przez Jarosława Iwaszkiewicza oraz „Sen nocy letniej” i „Henryka IV” w tłumaczeniu K. I. Galczyńskiego. — Obecnie PIW wpadł na trafny pomysł zebrania w jednej książce trzech przekładów Corneille'owego „Cydal”. Została ona wyjątkowo starannie opracowana; teksty poprzedza doskonałe studium prof. Mieczysława Brahmara o adaptacji dramatu w historii literatury i na scenie polskiej oraz o literackich wartościach tłumaczeń Jana Andrzeja Morsztyna, Ludwika Ostrowskiego i Stanisława Wyspiańskiego. Nota wydawnicza pozwala się zorientować w bibliografii przedmiotu oraz przynosi zwięzłą, a dobrą charakterystykę poprzednich wydań utworu. Dodać wreszcie trzeba, że zadano o bogate wyposażenie książki w materiał ilustracyjny: są podobizny autorów i polskich tłumaczy, są nawet fotografie starego afisza teatralnego i polskich odwróconych ról tragedii z różnych inscenizacji. — Nakład — niestety — znowu zaledwie 5 tysięcy; przypuszczając wolno, że byłoby to za mało i wówczas, gdyby owe pięć tysięcy rozprowadzono w y t a c z n i e w foyer Teatru Polskiego!

Inna słuszna decyzja tego samego wydawnictwa — to zebranie translatorskiego dorobku Juliana Tuwima z literatury rosyjskiej. Spośród trzech dużych tomów „Z rosyjskiego” (antologia ze wstępem Seweryna Pollaka) najbardziej takomym kąskiem jest tom pierwszy — „Z różnych poetów”; mistrzowsko przełożone „Słowo o wyprawie Igora”, liryki Lermontowa, Turczewca, Blok, Fela, B. Pasternaka, Majakowskiego, oczywiście — Puszkina i wielu, wielu innych. Znalazły się tu również fragmenty „Eugeniusza Onieгина”. Tom drugi — w całości poświęcony Niekrasowowi: „Komu się na Ru-

... MUZYCZNY CZY O MUZYCE?

KIEDY zapytano mnie czy „Preludium sławy” jest filmem muzycznym — bez wahania odpowiedziałem twierdząco. Ale kiedy jeden z moich rozmówców zaliczył „Preludium sławy” do tej samej kategorii filmów muzycznych, do których zalicza amerykański film z Deanną Durbin „Siostra lokaja” oraz goszczący na naszych ekranach bodaj w roku 1948, amerykański film „Melodia serc” z José Iturbi — musiałem zaprotestować.

Protestowałem kilkakrotnie. I wydaje mi się rzeczą sensowną aby, korzystając z drukowanego słowa, zaprotestować raz jeszcze.

A jak wyglądają rzeczowe argumenty? Myślę, że nie najgorzej.

Niewątpliwie, zarówno „Młodość Chopina”, jak i angielski film „Paganini” są to filmy muzyczne. Ale tylko ten pierwszy jest filmem o muzyce. Niewątpliwie w „Paganini” muzyki jest sporo, podobnie jak w „Fanfanie” dość często słychać szpada. Ale w zasadzie muzyka jest dla angielskiego reżysera jedynie dodatkową atrakcją filmu, czymś w rodzaju dekoracji, na której tle amant o interesującej urodzie przeżywa swoje miłosne perypetie. Nie inna muzyczność cechuje amerykański film o Chopinie („Song to remember”). Ten sam „dekoracyjny” charakter ma muzyka w rozrywkowo-komediowych filmach z Deanną Durbin i w sentymentalnych „salonowych” filmach z Beniamino Gigli. Atrakcyjnym dodatkiem jest muzyka zarówno w „Melodii serc”, jak i w sentymentalnej „Córce pułku”.

„Młodość Chopina” jest natomiast nie tylko filmem opowiadającym dzieje człowieka, w którego życiu muzyka odgrywa doniosłą rolę. „Młodość Chopina” jest także filmem opowiadającym dzieje szopenowskiej muzyki. Widzimy tu genezę ideowej treści muzyki Chopina. Dostrzegamy proces narodzin szeregu wielkich utworów genialnego muzyka.

„Preludium sławy” zaliczyć wypada, że względu na koncepcję dramaturgiczną oraz skalę zamierzeń, do najpełniejszej innej kategorii niż „Młodość Chopina”. „Lekki”, komediowy charakter filmu kręże umieszczenie dzieła Georges Lacombe obok „Melodii serc” czy „Córki pułku”. Niemniej jednak zarówno „Młodość Chopina” jak i „Preludium sławy” są to filmy muzyczne w pełnym tego słowa znaczeniu, podczas gdy nie można tego powiedzieć ani o „Melodii serc”, ani o „Córce pułku”.

*

„Preludium sławy” nie naręcza zatem specjalnych trudności w określeniu rodzaju filmu, do którego go wypada zaliczyć. Jest to, jak już wspominałem, autentyczny film muzyczny w formie opowiadania filmowego, nasyconego elementami komediowymi, którego główną ambicją jest zapewnienie widzowi pogodnej rozrywki.

I rzeczywiście widz naprawdę miło spędza czas i, jeśli uważnie wsłuchamy się w szmer rozmów po seansie, szybko zorientujemy się, że ludzie nie żują czasu spędzonego w sierpniowe popołudnie w dusznej sali kina.

Scenariusz Jean Bernard Luc'a, reżyseria Georges Lacombe'a oraz praca operatorska Claude Renoir stworzyły tok zdjęć filmowych posiadający dość znaczny stopień dramatycznej spójności oraz tego nawiązania fabularnego, które każe widzowi niecierpliwie oczekiwać dalszych obrazów.

Są jednak i rażące niedopatrzenia. Najpierw w koncepcji scenariuszowej. Roberto Benzi, główny aktor filmu, w okresie jego nagrania 11-letni muzyk o zdolnościach muzycznych na miarę senuśca, dziś znany 15-letni dyrygent oraz świetnie się zapowiadający kompozytor i pianista-wirtuoz, jest niewątpliwie fenomenem budzącym podziw. Otóż twórcy filmu nie u-

rażli się uszczę przed nadaniem filmowi pewnych akcentów „pokazu” niezwykłego zjawiska, jakim jest Benzi. I tak na przykład Roberto Luigi (takie nazwisko nosi w filmie Benzi) tylko po to rozmawia z hotelowym boyem, żeby wykazać widzom, jak świetnie mały Benzi panuje zarówno na językiem włoskim jak i francuskim.

Z przykrością wypada także stwierdzić, że Lacombe, twórca „La Nuit est mon Royaume” („Noc jest moim królestwem”) po prostu „puścił” kilka scen. Taką niedopracowaną sceną jest „obrazek” dzieci, które podczas pierwszego publicznego, szkolnego koncertu małego Luigi odbierają sobie program koncertu, a potem zastępową w nienaturalnym spokoju. Taką też „puszczoną” sceną jest moment, w którym Paul Bernard (zresztą poza tym świetny aktor), występując w roli dyrygenta Dumonteix, ciągnie za ramię małego Roberto, aby przeprowadzić z nim próbę zrekonstruowania odkrycia talentu chłopca podczas szych prób z orkiestrą. I wówczas, niestety, czuje, a raczej widzi się w twarzą aktora ukryte oczekiwanie, że za chwilę... ktoś do pana Dumonteix coś powie.

Kilka przykrych słów należy się także operatorowi filmu. Jego średniej skali praca daje na ogół poprawne rezultaty. Różnice jednak między techniką oświetlenia i ujęcia partii końcowego koncertu a resztą filmu są naprawdę rażące. Ponadto, jakkolwiek wyraźny i pełny, a niejednokrotnie przejmująco piękny, obraz małego dyrygenty jest zbyt, żeby tak rzec, niedyskretny. Główna przyczyna tego faktu tkwi, jak mi się zdaje, w zbyt ostrym naswietleniu obrazu.

Te i tym podobne „potknięcia”, charakter całej koncepcji scenariuszowej oraz czasem zbyt melodramatycznej i banalno-efekciarskiej roboty reżyserskiej — każą powiedzieć, że, z punktu widzenia filmowej atrakcyjności, „Preludium sławy” to niezły film, który, jako dzieje małego muzyka Luigi... mógłby być o wiele lepszy.

Niewątpliwym plusem filmu jest wkład Louis Reytsa, którego wrażliwość i niebanalnie opracowana muzyka zresztą wprawdzie międzywłoską wstrzemięźliwość muzyczną a angielską, nierzadko zbyt nastrojową, szczerobliwością. Dalszym plusem jest niewątpliwie poziom gry aktorskiej małego Roberto. Jedenastoletni Benzi, najlepszy w naturalnej dla siebie roli dyrygenta, realizuje zwycięsko dawne (chwilami reżysersko przeszarżowane) mimiczne obrazy muzycznego zachwyty i zasłuchania.

*

Gdybyśmy spróbowali zakwalifikować wiedzę, którą ten film przynosi, należałoby powiedzieć, że naciśk spoczywa tu na socjologii muzyki. Nie historia muzyki, jak w „Warszawskiej premierze” czy w „Wielkim walcu”. Duviviera; nie psychologia twórczości, którą próbował ukazać Krszko na przykładzie życia skrzypka Slavika — ale próba diagnozy warunków twórczości muzycznej stanowi ramy problematyki filmu. I przyznać trzeba, że jakkolwiek może nie nadzbyt bogata i pogłębiona, jest to diagnoza zaoportowana w wyraźną ocenę. Film, ukazując groźące twórcy w kapitalistycznym stroju niebezpieczeństwa moralne i materialne trudności, demaskuje równocześnie i potępia pogoń za zyskiem, która stanowi sens wielu imprez muzycznych niszczących talenty i ignorujących konsumentów kultury.

Trudno też odmówić twórcom filmu pewnych zasług w zakresie popularyzacji muzyki. „Preludium” Lacombe'a mocno wbiła się w pamięć. Nie to jednak jest tu najważniejsze. Najważniejszym momentem dia powyższej sprawy są chyba te partie filmu, które ukazują grę twarzy i rąk małego Benzi, dyrygującego wielką orkiestrą symfoniczną. Właśnie wiek dyrygenta pozwala w sposób pełny, żywiłowy, a równocześnie nie sugerujący widzom obrazów egzaltacji, oddać się przeżyciu harmonii dźwięków. Twarz i postać małego dyrygenty ukazują nam ogromne bogactwo i potęgę wzruszeń, których źródłem jest wielki repertuar muzyki światowej.

*

Ale, w gruncie rzeczy — wrażliwie, jakie wywarł na mnie film, jest najpełniejszą nieproporcjonalnie do możliwości ekspresyjnej dzieła Lacombe'a. Zadczywał obraz niewątpliwie ogromnych zdolności muzycznych i niemałej wiedzy, tkwiących w świadomości dziecka, które dzieckiem być nie przestało. Bądź to cały szereg filozoficznych refleksji, co, rzecz jasna, do tematu nie należy. Na zakończenie pozwolę sobie jednak przytoczyć słowa jednego z moich przyjaciół, który po obejrzeniu filmu powiedział mi niekończąc: „Widziałem kawałek swata, w którym widać wale nie karzą się z okularami i dolegliwościami żółdka, a geniusz wale nie staje się źródłem pychy, bo wszyscy są jak dzieci”.

SPROSTOWANIE

W numerze 32(454) „Dziś i Jutro” z dn. 8 sierpnia br., do artykułu Juliusza Domańskiego p. „Po zjeździe filologów” wkładły się liczne błędy, z których najważniejsze prostujemy:

Szpita I: w. 33 zamiast sztuki ma być naukę w. 38 zamiast tworzy ma być tworzy w. 46 po należy wstawić także Szpita II. w. 25 zamiast prelegenta ma być jednego, prelegenta Szpita III. w. 43 zamiast o micie grecim ma być o mimie grecim Szpita IV. w. 11 zamiast jubileuszem ma być jubileuszowym.

Redaguje Zespół Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartał 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 4-40-1 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkleśnicze RSW „Prasa” w Wa. Marszałkowska 3/5 Zam. nr 1957 5-B-150096

"Zadumieni" z Valley Forge



Wystraszone oczy jednego z pacjentów Valley Forge świadczą o metodach kuracji

DZIAŁO się to wczesnym rankiem pewnego dnia sierpniowego roku 1953. Pierwsza grupa żołnierzy amerykańskich — zwolnionych na mocy podpisanego właśnie przed paroma dniami rozejmu z obozów jenieckich Korei Północnej — przybyła ciężarówkami do jednego z posterunków granicznych i przekazana została do wódzstwa wojsk ONZ. Oficjalny komunikat głosił, że grupa ta składa się z 149 ludzi. W kilka godzin później 4 wielkie transportowce amerykańskie, wiozące tych pierwszych repatriantów w podróz powrotną do ojczyzny, wyładowały na lotnisku w południowo-koreańskim porcie Fusan, aby po krótkim postoju odstawić pasażerów do Japonii i dalej — poprzez ocean — do Stanów. Lotnisko w Fusan było już od paru godzin obleżone przez tłum wietrzających nie byle jakiejsenacje reporterów. Oto za chwilę z kolujących na ostatnim dobiegu maszyn wyjdą pierwsi Amerykanie, którzy będą w stanie podać wszystkie mrozące krew w żyłach szczegóły z dwuletniego przeszołobytu w samym środku komunistycznego piekła...

Sensacja istotnie nastąpiła — ale zgola innego rodzaju. Oto kiedy wśród gęstego trzasku aparatów fotograficznych i szumu kamer filmowych pierwszy transport „wybawionych” yankeesów stanął w całości na gładkim betonie lotniska — okazało się nagle, że ludzi tych jest tylko — stu dwudziestu dziewięciu. Komunikat zaś podawał najwyraźniej liczbę zwolnionych jeńców — 149. A więc 20 ludzi po drodze zniknęło. Co to znaczy? Oficerowie kierujący transportem kręcili głowami i odmawiali na ten temat wszelkich wyjaśnień.

Prasa wszczeka wrzask — najtęższymi członkami. Hałas ten jednak przycichł równie prędko jak się zaczął. Już bowiem nazajutrz wieczorem przemówił w Waszyngtonie sam Department Stanu i wyjaśnił całą tajemnicę lakonicznym komunikatem. Komunikat ten stwierdzał po prostu, że o wym brakuującym 20 ludzi nie wolno będzie chwilowo wrócić do rodzin; są to bowiem ci, którzy — według posiadanych przez rząd informacji — ulegli w czasie pobytu w niewoli „ideologicznemu zatruciu przez komunistyczną propagandę”. Zostali oni wobec tego ogłosili dalej oświadczenie — odseparowani od współtowarzyszy i będą odstawieni do kraju osobno, gdzie ulokuje się ich w wojskowym szpitalu w Valley Forge, w Pensylwanii celem przeprowadzenia... kuracji psychiatrycznej.

Ten niesłychany komunikat mógłby komuś nasunąć podejrzenie, że to nikt inny, jak sam jego autor rekrutuje się właśnie spośród niedoleczonych pacjentów którejś z klinik w Valley Forge. Trudno bowiem doprawdy przypuścić, aby człowiek całkowicie normalny mógł wpaść na pomysł tego rodzaju. Nawet prasa amerykańska, przyzwyczajona do najprzedziwniejszych ekstrawagancji, nie mogła ukryć zaskoczenia —

i czegoś w rodzaju odrobiny zażenowania. Ale diagnoza psychiatryczna postawiona dwudziestu „zadumionym” jeńcom przez urzędników Departamentu Stanu — miała moc obowiązującą i ona właśnie pokierowała dalszym biegiem wypadków. Dwudziestkę „kuracjuszy” przewieziono pod ścisłą strażą do Tokio, a stamtąd specjalnym samolotem (którego godzina odlotu trzymana była w tajemnicy), pod eskortą trzech odrzutówców(!), na Wyspy Hawajskie i na kontynent amerykański. Kiedy samolot ten lądował na lotnisku wojskowym Trais Air Base w Kalifornii celem uzupełnienia paliwa — lądowanie odbyło się w specjalnie strzeżonej „strefie bezpieczeństwa” („security area”, a samolot w czasie całego postoju otoczony był kordonem dwumetrowych, uzbrojonych po zęby drabów „Military Police”. W taki oto sposób i w takiej atmosferze witała ojczyzna swych synów, których przed trzema laty wysłała za ocean.

Dziś to początek owej ponurej historii, którą prasa brytyjska ochrzciła ironicznie nazwą „sprawy zadumionych z Valley Forge”. Powiadamy: początek — albo wmiopisane wypadki stanowiły jedynie punkt wyjścia dla całej serii podobnych, powtarzających się każdorazowo po zwolnieniu przez stronę koreańską-chińską kolejnej grupy Amerykanów. Pewien procent takiej grupy stanowili zawsze ludzie skazani przez „psychiatrów” z Departamentu Stanu na „kurację”. Ci „kuracjusze” znikali jak kamfora zaraz po przekazaniu ich dowództwu amerykańskiemu i odnajdywali się potem, w parę dni później, w szpitalu Valley Forge. Ogółem miało szczęście przejść tę „kurację” blisko 2 tysiące młodych Amerykanów.

Cisnie się tu, rzecz jasna, pytanie: jakie były występy tych ludzi? Czy postępowanie ich w czasie pobytu w niewoli kwalifikuje do rangi przestępstwa którykolwiek z paragrafów amerykańskiej konstytucji? Czy winni oni byli zdrady narodowej? Czy sposobili się może do sabotażu, szpiegostwa i roboty spiskowej — po powrocie do ojczyzny?

Nawet „Life” — pismo bijące światowe rekordy obłudy i zakłamania — nie ośmielił się twierdzić nic podobnego. Z gmatwanymi mętnych frazesów, którymi częstuje „Life” swych czytelników w raportażach na temat Valley Forge, wyłowić można ostatecznie jedną tylko rzecz: ci młodzi Amerykanie zrozumieli w czasie swego pobytu w niewoli ów okropny bezsens tej dziwnej awantury wojennej, która wyrwała ich z domów i rzuciła gdzieś do tysięcy mil, na przeciwną stronę globu — po co? dla kogo? w czym interesie? I ludzie ci popelnili rzecz niewybaczalną: zhańbili się podpisaniem apelów o położenie kresu wojnie koreańskiej.

Rzecz to znana, że nie da się walczyć z ideą pokoju otwarcie, bez maski, bezpośrednio. Nie próbował tego chyba nawet Goebbels, kim za tom esejów filozoficzno-religijnych zatytułowanych „Dialogues avec Monsieur Pouget”.

Jan Gutton znany jest we Francji i w całym świecie katolickim z wielu prac, jednym jednak z jego najważniejszych dzieł jest książka o Najświętszej Maryi Pannie nosząca tytuł „La Vierge Marie”.

ZBIOR PRZEKŁADÓW JULIANA TUWIMA
Młodzi talentu poetyckiego Juliana Tuwima otrzymał znowu miły upominek. Jest to 3-tomowy zbiór jego tłumaczeń z języka rosyjskiego. Starannie i estetycznie wydany przez PIW zbiór ten nosi tytuł „Rosyjskiego”. Jest on podsumowaniem twórczości przekładu w J. Tuwima — największego bodajże popularizatora poezji rosyjskiej w Polsce. Przedmowę do tego zbioru napisał Seweryn Polak.

WYBITNY DRAMATURG CIRCUSIANSKI NRD HANS FRANK obchodził niedawno swe 75-letnie. W r. 1919 wydał swój pierwszy dramat „Książę Reichstadt” oraz powieść „Thies i Piotr”, wkrótce potem został kierownikiem Wyższej Szkoły Sztuki Scenicznej w Düsseldorfie. Rozgłoszono go głównie nowelami i powieściami biograficznymi. „Sebastian” powieść odzwierciedlająca walki religijne w okresie średniowiecza. „Annette”, powieść o głosnej pisarce niemieckiej Drosle, oraz powieść o Bachu pt. „Pieczęć i Lubiaki” ukazywały się ostatnio w wydawnictwie CDU „Union-Verlag”. Nie drukowaną dotąd powieść o Goethem okrył Tomasz Mann jako najlepszą współczesną monografię o tym poecie. Frank tworzył nadal i osiadł w Frankenhof pod Schwerinem.

o wszystkim
PIERWSZY, NOWY KOSCIÓŁ KATOLICKI W PANSTWIE ISRAEL
W lipcu bieżącego roku odbyło się posiedzenie pierwszego, nowego kościoła katolickiego wzniesionego na terytorium państwa Izrael. Powstał on w miejscowości Isfija, na górze Karmel. Konsekracji kościoła dokonał biskup diecezji Hakim, zaś w uroczystościach oprócz patriarchy Jerozolimy arcybiskupa Salvo Oddi udział wzięli członkowie parlamentu Izraela i przedstawiciele dyplomacji akredytowani przy rządzie Izraela.

OSRODEK SOCJOLOGII KATOLICKIEJ
W marcu bieżącego roku, w Paryżu, przy ulicy Saint Honoré 262 powstał Instytut Socjologii Katolickiej. Celem jego oprócz konfrontacji poglądów i zbierania dorobku naukowego poszczególnych uczonych jest prowadzenie prac badawczych w dziedzinie socjologii oraz niezbędnej do tego dokumentacji. Osrodek stawia sobie również zadania wychowawcze, pragnie on bowiem za pomocą specjalnych konferencji kształtować ik najszersze rzesze wiernych z najnowszych osiągnięciami socjologii katolickiej.

W amerykańskiej fabryce propagandy ułożono więc specjalną receptę umożliwiającą tę walkę w sposób pośredni. Recepta ta — rozslana następnie na użytek rządów do wszystkich faszystowskich lub faszyzujących się krajów — polega na tym, że sztucznie, do karykaturalnych rozmiarów rozdyma się zakres pojęcia „komunista”. Zakres ten staje się w końcu tak szeroki, płynny i „rozciągliwy”, że da się nim objąć kogokolwiek, kto z jakichś powodów nie podoba się ludziom z Federalnego Biura Śledczego. Zakresem tym objęto w USA również cały krąg obrońców pokoju. „Peace slogan” — hasło pokojowe — w ustach obywatela Stanów wystarcza całkowicie, aby człowiekowi temu z miejsca przykleić wilczy bilet „niełojalności”, czerwona etykieta „wywrotowca” i „bolszewika” — i aby tym samym pchnąć go bezceremonialnie w miazdżące tryby machiny policyjnego terroru, aby go szczerć, dręczyć i szkanować — aż do „ideowego ozdrowienia”. Na tle tych metod — owe pompatyczne komuny o „wolniści przekonań”, którymi tak hojnie raczy swych ogłupiałych słuchaczy amerykańska propaganda radiowa, stają się już po prostu nie do zniesienia dla kogoś, kto ma choćby o drobinę uczciwości i zdrowego rozsądku. Są to zresztą wszystko rzeczy zbyt znane, aby się tu nad nimi szeroko rozwodzić. Chcemy jeszcze tylko zwrócić uwagę na jeden szczegół związany z „afarą Valley Forge”, ma on bowiem dość interesującą wymowę.

JENCY amerykańscy w czasie pobytu w niewoli mieliwali po 2-3 razy w tygodniu specjalnie dla nich organizowane pogadanki i odczyty na tematy związane z wojną koreańską, a dotykające również różnych kwestii polityki i gospodarki światowej. Obecność na nich była — rzecz jasna — całkiem obowiązkowa, czemu nie usiłuje przeczyć nawet „Life”. Sam jednak fakt odbywania się tego rodzaju zajęć doprowadza sprawodawcę tego pisma do szwajskiej pasji. Nazywa on wspomniane pogadanki „perfidną metodą prania mózgow” (ang. „brainwashing” — termin, przyznać trzeba, nie pozabawiony trafności) i pisze: „Ekonomia, polityka i rozmaitymi ideologicznymi rozstrząsaniem i mocą głowy chłopcom, których te sprawy przedtem w ogóle nie obchodziły”. Oto, co boli amerykańskiego publicystę! Passus ten jest doprawdy wybory — warto go zapamiętać, bo mówi on szereg rzeczy, których jego autor wcale powiedzieć nie chciał. Wyziera zeń

manowicie ów paniczny lęk klas rządzących przed minimalnym choćby, najprymitywniejszym uświadomieniem społecznym mas. Tzw. szary człowiek, który się trochę interesuje ekonomią i polityką — jakikolwiek by wyznawał światopogląd — jest już potencjalnie niebezpieczny, bo zainteresowania takie mogą go pewnego dnia doprowadzić do zrozumienia mechanizmu otaczających go codziennie zjawisk społecznych. Najbezpieczniej jest człowiek, który myśli tylko o tyle, o ile to jest potrzebne do poprawnego wykonywania jego pracy zawodowej, człowiek — kukła, człowiek chemicznie wyprany z jakiegokolwiek idei — oprócz idei gorszobstwa i zaspakajania chętek najbardziej trywialnych. O takim człowieku można mieć pewność, że zainteresowania jego nigdy nie wyjdą poza sferę gumy do żucia, fotonolowych gwiazd filmowych i nylonowych krawatów we fiolkowopomidorowe wzory; taki człowiek jest gwarantowany. Dopóki problemy tego typu absorbują jego osobowość bez reszty — dopóty jest on ideałem Amerykanina, prawdziwym obywatelem „wonnego świata”. Aby takie ideały produkować masowo — trzeba zbudować cały system wychowawczy, kodeks moralny i specjalny styl życia, które by gumę do żucia, fotosy i krawaty podnosiły do rangi wartości najwyższych. I trzeba masom stworzyć pewne pozory dobrobytu — takiego przynajmniej, w którym by wszystkie powyższe i im podobne „wartości” były rzeczywistymi codziennością. Na takich to właśnie zasadach zbudowane jest współczesne amerykańskie społeczeństwo i taki jest sens istotny owego „amerykańskiego stylu życia”, o którym tyle się w nas pisało i pisze — i który jest jednym z kamieni węgielnych całej tej społecznej obłudy.

Każdy z kuracjuszy z Valley Forge był przedtem też „ideałem Amerykanina”. Ekonomia i polityka — jak to tęsknie wzdycha sprawodawca z „Life” — nic go wówczas nie obchodziły. Ani wtedy, gdy chodził ze swą „girl-friend” do kina gdzieś w Kentucki czy Michigan — ani wtedy, gdy strzelał z karabinu maszynowego do „Czerwonych” na Korei. Dopiero w obozie jenieckim nad daleką rzeką Yalu zaczął po raz pierwszy wychodzić poza te skądinąd problemowe, którymi karmiło go dotąd własne społeczeństwo. Zaczął myśleć — i dlatego posłano go na „kurację” do szpitala dla obłąkanych. W ten oto sposób imperializm sam sobie wystawił świadectwo obłędu.

Fraszki

JANUSZ DUNIN



Cuda reklamy

Reklama „Domu Książki”
bywa dwójakiego rodzaju:
w czerwcu dzieł co wyjdą
w grudniu
w sierpniu wyczerpanych —
w maju.

Oj, Przyjaciółko

Rady w „Przyjaciółce”
To Courths-Mahler w pigułce.

Na przykładzie „Warkocza jesieni”

Tomik znikł
nie złapie go nikt,
nawet mistrz Chromik.
Złotówkę kosztował
a cymbał planował.

Na Magdaleny

Dziś w metodach twórczości
zaszła zmiana mała.
Tych co ojciec malował
córka obsmarowała.

ZBIGNIEW STEPEK

Wstęp do iraszek

Wszystkim niefraszkopisarzom poświęcam

Rzeki pewien poeta,
iż życie, po prostu, jest
fraszką...
Bo trudno żyć dobrze
i fraszki pisać — nie tawo.



Sobie — z okazji przyływu niezamierzonej szczerości:

„Fraszka walczy z brakoróbstwem” —
satyryk powiedział.
Ze hasłem tym sam w siebie godzi —
nie wdział.

KILKA SŁÓW

o teatrze

ZWYCIECZA PARYSKIEGO FESTIWALU TEATRALNEGO

nazywa się powszechnie wschodnio-niemiecki Berliner Ensemble. Bertolt Brecht z jego „Mutter Courage”. Złaniem M. Capron z „Le Combat” samo już to przedstawienie usprawiedliwiło pomysł takiego międzynarodowego spotkania teatralnego. A P. Antoine z „L'Inferno” — pisząc o ponad 20-minutowej owacji po spektaklu (niezwykłej nawet w Paryżu), ocenia go entuzjastycznie: „Tekst, inscenizacja, gra aktorów, muzyka, śpiew — wszystko tworzyło całość doskonałą, niepodzielną z jednej bryły”. Prasa francuska wyróżniała z aktorów Anzelle Hurwic. Jako jedną z najbardziej niezwykłych artystek oglądanych od lat na scenie paryskiej, dalej Geschonnka i Buscha — za prawdziwość humor i siłę wyrazu ich gry, wreszcie godną podziwu Helene Weigel. „Figaro” przynajmniej prostej i szlachetnej wschodnio-niemieckiej inscenizacji „Mutter Courage” lepszy smak i wyższość nad niedławną francuską w Theatre National Populaire. Nawet korespondent zachodnio-niemieckiej „Frankfurter Abendpost” zmuszony jest zaliczyć Berliner Ensemble do zwycięzców festiwalu.

Z CZŁOWICZYCH TEATROW WŁOSKICH

Jedynie dwa są w pełni stałe. Jeden z nich to teatr „San Ferdinando” w Neapolu, kierowany przez wybitnego aktora i autora 20 komedii) Elioardo de Filippo. Ten realistyczny teatr wyraża tak wiernie prawdę życia społecznego i tendencje antywojenne, że okrzyknięty jest jako komunistyczny. Filippo nawijuje do tradycji narodowego teatru, wprowadzając ponownie na scenę pogłębioną ludową postać Półszynela (Puccinello), m. in. w sztukach Antonio Petito z ub. w Drugi stały teatr „Piccolo Teatro” w Mediolanie zawiązała w 1940 grupa entuzjastów z reżyserami P. Grassi i G. Strahler, zdobywając wreszcie w r. 1947 siedzibę w małej salce kinowej. Pierwszymi premierami były tu „Na dnie” Gorkiego, „Noc z niewiasty” Salacrou, Czarodziej Calderona, „Sluga dwóch panów” Goldoniego. Przy teatrze założono szkołę dramatyczną, organizuje się odczyty i wystawy, nawiązuje kontakt z organizacjami robotniczymi (w sezonie 1951/52 ok. 20 tysięcy robotników obejrzało „Poskromienie złośnicy i „Ryszarda II” Szekspira).

ra). Wybitne przedstawienia teatralne dają ponadto periodycznie reżyser filmowy Lucio Visconti, Gassmann i Ceroli — zespół tego ostatniego uczestniczył w festiwalu paryskim.

POSTĘPOWE SZUKAJĄ W TEATRACH ARGENTYNSKICH

W Argentynie istnieje obecnie 25 niezależnych teatrów, z których większość znajduje się w Buenos-Aires. Teatry te muszą walczyć z pseudo-kulturalną ekspansją USA. W czasie ostatniego sezonu teatry te wystawiły szereg sztuk pisarzy radzieckich i innych pisarzy postępowych. Np. teatr „La Mascara” wystawił sztukę K. Simonowa „Czeka na mnie”. Teatr „Del Pueblo” dał kilka premier z repertuarem współczesnej dramaturgii chińskiej z „Teatr Zydowski” wystawił „Matkę Courage” B. Brechta.

KRYZYS TEATRALNY W NIEMCZECH ZACHODNICH

pogłębia się coraz bardziej. Co pewien czas szeroko omawia się ten problem na zjazdach teatralnych, lecz jak dotąd szuka się jedynie i znajduje wielu winnych. Dramaturgia idzie na ustępstwo wobec publiczności i tkwi w tendencjach konserwatywnych. Dramaturzy nie mają nic do powiedzenia, bo jak pisze amerykański „The Month” — wszędzie wyczerpują się źródła dramaturgii, ponieważ wiara w postęp kończąca się po poprzednim wieku musiała ustąpić współczesnemu przecziłku upadku. W tym sezonie przynajmniej trzy znane sceny nie przewidują żadnej sztuki niemieckiej. Jeśli nawet trafi się dobry dramat, nie może on dostać się na scenę. Po wypędzeniu w r. 1933 czołowych twórców nie odzyskano dotąd łączności z lepszą tradycją, tymczasem zaś amerykańskie bestsellery zespoły smak odbiorcy. Film, radio, i telewizja odbierają rozrywki i odwrócić, którzy stali się ludem wędrownym: reżyserów goniących za zarobkami nazywa się wprost ślepiogowymi.

I NIEMCY MAJĄ SWE OTWARTE SCENY

W NRD jedną ze scen na wolnym powietrzu — „Hans Otto Theater” w Parku Sans-Souci. Sza tu ostatnio wcieliła operka Wolfganga Strucka pt. „Treffpunkt Herz” z świetnymi dekoracjami Erika Geistera. Inna taka scena związała jest z terenami pałacu w Moskwi katu pod Dessau. Występuje tu czasem balet teatru z Halle pod kier. Inga Ziegler, kiedy indziej orkiestra miejska w Dessau pod dyr. Otto Kaysera.

TRUDNOŚCI AUSTRIACKIEGO TEATRU

analizuje w wiedeńskim czasopiśmie „Ta Gebuch” Martin Rathspreecher. Teatry w tymu braku przede wszystkim nowe go ducha. Wiedeń może stworzyć jedynie nową współczesną dramaturgię. Jeśli będą nowe dramaty i prapremiery znajdą się i aktor, nawet mimo lepszych honorariów filmu. Teatr musi się jednak stać nie tylko przechowywaczem, lecz i twórcą kultury, a dyrektorem nie mogą pozostać nadal urzędnikami. Autor artykułu wzywa do stworzenia grupy intelektualistów która postawiłaby sobie za zadanie poszukiwania za nowym autorem i dramatem, będącym prawdziwym wyrazem epoki.

o muzyce

WIECZOR OPEROWY W BERLINIE

Studio Operowe przy Wyższej Szkole Muzycznej w Berlinie wystąpiło z pięknym i doborowym programem, wystawiając trzy pełne uroki opery: wspaniałą miniaturę ze skarbca włoskiej opery buffo „Sluzka panią” Pergolesiego, mistrzowskie dzieło dwunastoletniego Mozarta „Bastien i Bastienne” oraz „Do-branoc. Panie Pantaloni” zapomnianego już mistrza francuskiej opery komicznej Alberta Grisar. Występ adeptów spotkał się z entuzjazmem i szczerym uznaniem publiczności Berlina.

„FIDELIO” W MOSKWIE

Państwowy Akademicki Teatr Wielki wzbogacił swój stały repertuar operą Beethovena „Fidelio”, doychczas wysławaną bardzo rzadko na scenach radzieckich. Ponowne opracowanie tekstu, dokonane poeta Birjukow, usuwając naciągłość carskiej przeszłości, zacierałaje demokratyczny charakter dzieła. Wystawienie „Fidelio” na scenie radzieckiej jest cennym przyczynkiem do dalszego pogłębienia przyjaźni obu narodów.

Prasa radziecka wyraża wiele pochwał pod adresem spektaklu.

625 POLSKICH OPER

Nakładem Polskiego-Wydawnictwa Muzycznego ukazała się pierwsza pozycja z cyklu zatytułowanego „Materiały do bibliografii muzyki polskiej” — praca Kornela Michałowskiego pt. „Opery Polskie”. Książka przynosi informacje bibliograficzne o 625 operach polskich, począwszy od wystawionej w 1773 roku „Nedzy uszczęśliwionej” Macieja Kamińskiego aż do powstałych ostatnio oper „Bunt żaków” Szeligowskiego i „Janko Muzykant” Rudzińskiego.

„KAPRYSY MARIANNY” JAKO OPERA

Na Festiwalu Muzycznym w Aix-en-Provence wystawiono wśród szeregu innych oper „Kaprysy Marianny” — operka Wolfganga Strucka pt. „Treffpunkt Herz” z świetnymi dekoracjami Erika Geistera. Inna taka scena związała jest z terenami pałacu w Moskwi katu pod Dessau. Występuje tu czasem balet teatru z Halle pod kier. Inga Ziegler, kiedy indziej orkiestra miejska w Dessau pod dyr. Otto Kaysera.

o literaturze

ATOLIK — LAUREATEM AKADEMII FRANCUSKIEJ

Tegorocznym laureatem nagrody II stopnia Akademii Francuskiej został Jean Gutton, znany filozof, pisarz, historyk i powieściopisarz katolicki. Nagrodę tę przyznano mu przede wszyst-